

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 22 kwietnia 1946 r.

Nr 15 (33)

MIECZYŚLAW JASTRUN

W strefach ulewy i grzmotu

Adam Mickiewicz
Podług portretu Fr. Tepy.

O jakim Mickiewiczu mamy dzisiaj mówić? O Mickiewiczu, ograniczonym latami jego życia i działalności, o Mickiewiczu tworzącym swą własną i swego narodu historię na pewnym niewielkim odcinku lat, czy o Mickiewiczu, jakim go ukazała historia i legenda pomiędzy latami 1855—1945? Czy tylko o tym Mickiewiczu, którego dzisiaj czytamy i czujemy na nowo?

Dzieła dawnego poety czytamy poprzez naszą współczesność, ale to nie znaczy, abyśmy wyrwali jego obraz z ram historii, która to dzieło uwarunkowała. Czytamy poetę w kategoriach jego czasu, ale zarazem czytamy go poprzez to wszystko, co na tym dziele narosło — jakby powiedział Norwid. Na dawne, znane nam dobrze rysy pisarza rzucamy światło, które — nie wiemy w jakim stopniu i nasileniu pochodzi od nas, w jakim — żywi się dziełem poety. Wszelkie inne czytanie byłoby tylko sprawdzaniem przy pomocy latarki martwych liter w lochu grobowym przeszłości. Okres historyczny zjawiska, któremu na imię Mickiewicz, ograniczony jest dwoma wielkimi wydarzeniami o znaczeniu światowym: wielką rewolucją francuską i Wiosną Ludów roku 1848. W tym okresie mieści się cała epopeja napoleońska, i utrwalanie się ustrojów demokracji burżuazyjnej na gruzach feudalizmu, i powstanie prawodawstwa demokratycznego w kodeksie Napoleona, i socjalizm utopijny, i początek socjalizmu naukowego.

W twórczości Mickiewicza ramy te wyznacza z jednej strony żywiona ideałami wielkiej rewolucji schillerowska i pseudoklasyka „Oda do młodości”, z drugiej publicystyka artykułów w „Trybunie Ludów”, oddychająca tym samym poczuciem braterstwa co „Oda do młodości”, lecz nie stroniąca od terminologii socjalistycznej, zajmująca historię nie tylko w kategoriach moralności, lecz w pewnym sensie również walki klasowej. Pominięcie lub niedocenne nie czynnika historycznego w ocenie twórczości poety przez monografistów, historyków literatury i gawędziarzy przyczyniło się do zamazania rysów poety, do jednostronnego, więc fałszywego obrazu jego poezji i działalności.

Twórczość Mickiewicza, w tym samym stopniu co twórczość współczesnych mu, w szerszym znaczeniu, wielkich poetów epoki, Goethego i Byrona, była wynikiem skrzyżowania się różnych tendencji i sprzeczności okresu, była wypadkową silnych wielkich ruchów społecznych i narodowych.

* Odczyt o Mickiewiczu wygłoszony w Literackim Klubie Dyskusyjnym w Łodzi.

O tym nie wolno nam zapominać, jeśli chcemy zrozumieć prawdę poezji Mickiewicza.

Historycy literatury odczuwając niejedną rysę w posagu poety usiłują tłumaczyć ją perypetiami jego życia indywidualnego, „tragedią” osobistą, unikają natomiast bliższej konfrontacji poety z ruchami historii tego okresu. Tymczasem w pismach Mickiewicza znaleźć możemy niejedną ważną wskazówkę, która w jakimś stopniu tłumaczy w skali najszerszej walkę wewnętrzną i rozdwojenie poety, dla którego „wtek męski” stał się „wiekiem kłęski”, a który mimo tragicznego rozdarcia, imponuje swoją siłą.

W „Wykładach o literaturze słowiańskiej” mówił Mickiewicz o Byronie: „W nim bardziej niżeli w nim nie widać tych męczarni anormalnego bytu na przejściu między wiekiem XVIII a XIX, tych błkań się bez celu, tych pragnień czegoś nadzwyczajnego, tych tęsknot za przyszłością nieznaną... „On pierwszy pokazał ludziom, że poezja nie jest cczą rozrywką, że nie dość tu życzeń i słów, że trzeba samemu tak żyć, jak się pisze”.

Poprzez ten portret Byrona przeglądają wyraźnie rysy twarzy Mickiewicza. On podobnie jak Byron, obdarzony potęgą słowa, nie ograniczył się przecież do krasomówstwa i nie zważał się pióra swego oddać w służbę publiczną. W jednym z artykułów w „Piegrzymie” omawia Mickiewicz posiedzenie Izby Deputowanych prozą reportera — a był wtedy w największej swej formie, w r. 1833, podobnie jak Byron, który „schodził do najniższej prozy” pisząc w listach o trzewikach emigrantów włoskich lub o handlu angielskim w liście do komitetu niepodległej Grecji.

O mieszkaniach dla robotników pisze ręką tego samego człowieka, który opiewał góry krymskie i fantastyczne pustynie.

Chciałbym tu z całym naciskiem podkreślić niezwykły u tego poety zmysł rzeczywistości, zawsze osadzonej w miejscu i w czasie, jego ostrość widzenia w perspektywach historycznych.

Gdy pisał „Grażynę”, „Konrada Wallenroda”, „Dziadów” cz. III, miał w sobie rozległość horyzontów wielkiego polityka, wyciągającego wnioski z przeszłości i przewidującego przyszłość. Nie darmo pisał w „Piegrzymie”... „polityką, działaniem nazywamy tylko czyni albo słowa i myśli, które rodzą czyni”. W artykule „O nowym malarstwie niemieckim” umieszczonym w „Revue du Nord” znajdujemy zdania wnikliwie analizujące podłoże socjalne sztuki. Czytamy takie na przykład lapidarne określenia: „Rewolucje artystyczne dokonywały się zbyt wolno i w sferze zanadto wysokiej, aby lud mógł ich przyczynić z głębi; ale on odczuł wnet ich skutki...” „Wielkie jury ludowe wydało swój wyrok: uznało nowe obrazy za to, czym były rzeczywiście — za przedmioty handlu...” „Rewolucja r. 1848, która wstrząsnęła tak silnie duszą narodów, wywarła wnet wpływ swój na utwory artystyczne”. „David wprowadził sztukę ze sfery codziennego życia prozajcznego, wyniósł ją na szczyt malarstwa historycznego...” „Na nieszczęście upadek wolności powstrzymał nagle polot tego śmiałego malarstwa demokratycznego”.

Kiedy czytamy dzisiaj pisma Mickiewicza, zarówno w poezji jego jak i w prozie raz po raz zadziwiają niezwykle ostre i przenikliwe spostrzeżenia, zastanawia stale przez poetę stosowana ocena historyczna zjawisk życia i sztuki. Cały ustęp III części „Dziadów” jest w równym stopniu genialną poezją co i traktatem politycznym. Orł wzrok poety, który wspaniale wiersze poświęcił sile oka, fascynował już współczes-

nych. Jest rzeczą zastanawiającą nas dzisiaj, że Mickiewicz, który dał tak znakomitą, tak politycznie dojrzałą i dalekowzroczną analizę caratu w „Dziadów” części III, w ocenie narodu rosyjskiego posuwając się do szlachetnego obiektywizmu, kiedy mówił o drugim zaborcy, o Niemcach, nie szukał dla ich okrucieństw i dla ich wrogości usprawiedliwienia. W „Grażynie” wypowiedział sąd o krzyżakach, który potwierdził w całej grozie doświadczenia lat ostatnich.

W „Konradzie Wallenrodzie”, który miał być alegorią walki z Rosją, przeszłość niemiecka ukazana została z taką znajomością charakteru państwa rozbójniczego, że kiedy dziś czytamy „Powieść wajdeloty” nie możemy się oprzeć potędze prawdy, bliżej z opisu najazdu krzyżackiego, z atmosfery grozy, którą przeżywa naród walczący o swoją wolność. Wstęp do poematu, jeden z najpiękniejszych utworów Mickiewicza, o cudownej harmonii i plastyce, zawiera sformułowania brzmiące dla nas tak żywo, jakby wyjęte były z ust współczesnego pisarza, który przeszedł okupację niemiecką:

Już Prusak szyję uchylił w okowy
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził.
Niemiec za zbitegm rozpuścił gonitwy,
Wzięił, mordował aż do granic Litwy.

Zmysł historyczny, tak znamieny dla Mickiewicza, sprawił, że poeta zagłębiwszy się w dziejach zakonu krzyżackiego, dał się ponieść materiałowi historycznemu, ze szkoda dla pierwotnej koncepcji poematu, dla jego ideologicznego, antycarskiego wygłosu.

Poemat, wymierzony przeciw Rosji carskiej, stał się siłą faktu, dzięki konkretności wizji, dzięki pasji realistycznej, utworem uderzającym w Niemców. Mickiewicz, to jasne, czerpał nie tylko z kronik, czerpał z żywej na Litwie tradycji, z tej wieści gminnej, która pozostała po dawnych niemieckich najazdach. Poza tym, niewątpliwie, dalekowzroczność polityczna Mickiewicza kazała mu wierzyć w przyszłe zbliżenie ludów słowiańskich. Nie jest również przypadkiem fakt, że Mickiewicz wykładał w Collège de France literaturę słowiańską. Mickiewicz, którego szerokość horyzontów myślowych zdumiewa już w czasach jego wileńskiej młodości, zawdzięczał później wiele osobistemu zetknięciu z kulturą Zachodu; bunt jego przeciw cywilizacji nowoczesnej nie przeczy bynajmniej temu faktowi. Tak również jego czujność historyczną potwierdzają, jak wyjątki regule, próby ucieczki z zamętu Europy. Jest w epilogu do „Pana Tadeusza” przejmujące miejsce, gdy poeta, który chce „drzwi zatrzęsnać od Europy hałasów” usprawiedliwia się jak z chwili słabości ze swego marzenia o złotym wieku dzieciństwa:

Chciałem pominąć ptak małego lotu,
Pominąć strefy ulewy i grzmotu.

Jak tragiczna jest ta niemożność wyrwania się z kręgu odpowiedzialności wobec historii!

W okresie lozańskim uczucie znużenia, pogrążenia się w sobie, oderwania od nurtu wydarzeń powtórzy się z większą jeszcze intensywnością. Liryki, które wtenczas Mickiewicz pisze, odbiegają daleko od charakterystycznej dla niego poetyki, która w większym stopniu niż się o tym mówi jest poetyką klasyczną, wybitnie racjonalistyczną. Wiersze te, które można by porównać chyba tylko z lirykami Hoelderlina z lat jego obłądzenia, należą do szczytów twórczości lirycznej Mickiewicza, ich solipsystyczny charakter jest czymś wyjątkowym w twór-

„BEZPOLITYKOWCAMI NAZYWAMY LUDZI, KTÓRZY NIE WIEDZĄ Z JAKIM WIATREM PLYNĄĆ I ŚRÓD BURZY NIE TYLKO ZWIJAJĄ ŻAGLE, ALE UCIEKAJĄ Z POKŁADU, NIE CHCĄ NAWET UWAZAĆ NIEBA, GWIAZD, RADZĄ SCHOWAĆ SIĘ NA SPÓD, KRZYCZĄC: JAK WIATR POMYSLNY ZAWIEJE, WTENCZAS WYDZIEMY NA WIERZCH.”

ADAM MICKIEWICZ

zości poety; podkreślamy tę wyjątkowość; prawidłowość zjawiska wystąpi na jej tle tym dobitniej.

O poecie obdarzonym tak wielkim darem historycznego patrzenia, za wiele mówiło się w kategoriach romansu z Marylą, Ewą czy Ksawerą. Niewątpliwie, cząstkowe ujęcia i twórczości Mickiewicza skrzywiają jego obraz. Okres towarzyszenia, okres upadku poety, przesłonił monografistom okresy jego wzlotów, do których należą zarówno lata 1848—1849 jak i rok przedśmiertny. O wpływie powstania listopadowego na poetę pisano wiele, niezupełnie słusznie szukając wyjaśnienia w biografii, przesadnie podkreślając znaczenie domniemanego urazu.

Wzlotów i upadków Mickiewicza nie podobna należycie wytłumaczyć bez przywołania na pomoc poszczególnych okresów historii, na których odcinku działał i tworzył. Wspaniała niejednołitość jego osobowości i stylu jest wynikiem skrzyżowania się w jego umyśle sprzecznych często nurtów romantyzmu. Skupił w sobie wszystko, co w romantyzmie europejskim było postępowe i twórcze, jego rewolucjonizm, jego myśl demokratyczną, jego skłonność do wielkich syntez dziejowych, jego humanizm. Zarazem nie był wolny od tego, co w romantyzmie musimy uznać za prąd bez przyszłości. Mam na myśli prądy mistyczne nurtujące romantyzm, a biorące źródło z wielkiego rozczarowania, które zwłaszcza po Kongresie Wiedeńskim dało się odczuć wśród mas ludowych Europy.

Do tego rozczarowania dołączyły się nieszczęścia polskie, klęska powstania listopadowego, rozterka i bezwład emigracji. Byłoby rzeczą nad wyraz pożądaną, abyśmy nauczyli się wreszcie oceniać trzeźwo to wszystko, co w Mickiewiczu, podobnie jak i w Słowackim czy Norwidzie, było chorobą emigracyjną, było wynikiem nie normalnego stanu, w jakim znalazł się naród i jego poeta, abyśmy z tych jakże często żalonych upadków, których źródła znamy, nie robili świętości narodowych, i abyśmy z nich nie brali przykładu. Pamiętamy własne słowa Mickiewicza: „Tylko dla nauki scenę boleści powtórzył zbrodzień”...

Jeśli chodzi o pogardę Mickiewicza dla rozumu i cywilizacji nowożytnej, to niewątpliwie były w tym uprzedzeniu echa Rousseau'a, ale również można by się dosłuchać w nich swoistej interpretacji pogłosów niektórych przejawów przednaukowego socjalizmu. Jest wiele sprzeczności w stosunku Mickiewicza do współczesnej mu wiedzy i cywilizacji. Mickiewicz rozumie konieczność organizacji nowoczesnego społeczeństwa. „Trybuna Ludów” świadczy o tym najwymowniej. Protest jego przeciw cywilizacji maszynowej jest na tle epoki zjawiskiem bynajmniej nie wyjątkowym. Zacołanie gospodarcze kraju, z którego autor „Pana Tadeusza” pochodził, sprzyjało antyurbanistycznej postawie.

Równocześnie jaka znajomość praw rządzących światem kapitalistycznym przemawia z jego argumentacji w Les cités ouvrières: „Czyż nie mieliśmy prawa zapytać się urzędowych reprezentantów reakcji: pp. Thiersa, Foulda, obydwóch Dupinów, dlaczego kiedy byli u władzy, kiedy się ogłaszali zwycięzcami Rzeczypospolitej i zasad socjalistycznych, nie przyszło im na myśl obrócić na mieszkania robotników owe ogromne kapitały, które wydawali na fortyfikację Paryża, na budowanie koszar i więzień i wszystkiego tego, co mogło przynieść korzyść i dobrobyt dynastii orleańskiej? Te uwagi zwracamy do robotników, przyszłych mieszkańców tych zakładów, aby byli przekonani, że to duch re-

sposób wewnętrzną tandetność duchową postaci Agamemnona pod pokrywką majestatu, który Narses ubóstwia. Symbol czapki frygijskiej we Francji oznaczał całkiem coś innego. Owi wyzwolicieli Orestesa, którzy z przytęaloną paskudną radością skupiwszy się na podwórku zamku obserwują zniszczenie miasta, czekają przecież na swoją godzinę. Walki się skończyły — rozpocznie się rabunek. Żołnierz cudzoziemski nie zna należycie miasta, nie zawsze dostrzeże do łupu. Kto mu pomoże jak nie ci zbracy? Oni znają swoich — pokażą, co który mierzchniczy chował, jak dotrzeć do sekretnych schronów, gdzie są pozory bogactwa, a gdzie prawdziwe skarby ukryte, od kogo wziąć i jak wykup. No i samemu się przy tym obłowić. Im nic nie grozi, nie nadają się nawet na targ niewolników. Owi asesornowie sprawiedliwości integralnej Elektry — jeśli stanowią nawet symbol — to symbol istotnej dekadeny społecznej tego świata idei w kręgu którego obraca się autor. Przy całej błyskotliwości talentu, lotności myśli, kulturze, wszelkich zaletach pióra — występuje przeciw ogromna niewspółmierność tego, co tu Giraudoux pisał, w stosunku do ciężaru dźwiękowego problemów, przed którymi stał jego kraj. To nasuwa myśl o głęboko sięgającym upadku.

Francja w przededniu wejścia w drugą wojnę światową znajdowała się istotnie w napięciu przeciwności, granicznych z wojną domową. Podobnie jak dla innych krajów europejskich druga wojna światowa stała się tam surogatem wojny domowej. Charakterystyczne dla obrazu czasu, że dyskutowano wówczas publicznie we Francji problem — co lepsze, niewola czy wojna? A byli tacy, którzy odpowiadali: niewola.

Ale może problem defetyzmu znalazł się w sztuce przypadkowo? Nie zapomniamy, iż Giraudoux w innych swoich utworach zajmował się filozofią państwa w aspekcie problemów III Republiki (powieść „Bella”). Rozważania polityczne Egista stanowią wprost kontynuację myśli wypowiedzianych w tamtej powieści. Postawa Elektry w sztuce jako koresponduje — wychodząc z odmiennych przesłanek — z postawą przemysłowych i bankowych królów III Republiki wobec najścia koryntjan Hitlera. W mienawistnych oskarżeniach przeciw republice motowanych z prawa, nie brakuje też wypominań niedoli ludu. Ale chodziło przecież o coś innego.

Ci, którzy sprawę krzywdy społecznej stawiali w całej ostrości, zwalczając ustrój burżuazyjny w imię rewolucji społecznej, zajmowali stanowisko odmienne. Motyw podobny występował np. w wierszu Broniewskiego napisanym w przededniu wojny: „Są w odczynie rachunki krzywd, których obca dłoń też nie przekreśli”. Ale stosunek Broniewskiego do problemu obrony był zasadniczo odmienny. U Giraudoux ta bezsilność, bezradność (o której wspomina komentarz teatru) wobec problemu wojny wynika z postawy społecznej, autor „Elektry” podziela ją z większością mieszczaństwa Argos — III Republiki. Bezsilność społeczna łączy się z bezsilnością moralną, łączy się z brakiem zrozumienia powagi i sensu momentu dziejowego.

Wspólna tyrada końcowa Narses i Zebrała w nachodzącej fali zniszczenia każe widzieć świtanie dnia jutrzejszego. Raz jeszcze występuje w patetyczny sposób odraza do tego świata, który się kończy, świadomość, że nie warto go podtrzymywać. Do tego rodzaju postawy posiadają moralne prawo ci jeno, którzy mają wizję przyszłości, którzy wiedzą przynajmniej w ogólnych zarysach co nastąpi potem.

Ale przy pełnej świadomości bankructwa, nastroju obrzydzenia, wzgardy dla istniejącego stanu rzeczy — bez należytego poczucia tego, co powinno zastąpić bankrutujący ustrój, przy braku jasnej wizji przyszłości — postawa znacznej części intelektualistów faktycznie otwierała bramy stolice europejskie Hitlerowi, lub niweczyła przynajmniej w początkach siłę oporu. Tragiczny los samego Giraudoux, a los ten podzieliło przecież wielu, powinien stanowić ostrzeżenie. Dziwne, ale i przerażające, że rzeczy tych dziś jeszcze wielu zdaje się nie rozumieć — rezonuje się o tych sprawach niekiedy tak, jakby między rokiem 1937 a 1945 właściwie nie się nie zmieniło. I po tej Knii poszedł teatr.

ESTETYZM INTEGRALNY

Charakter inscenizacji sztuki w teatrze Wojaska oświetliły trafnie wypowiedzi Szyllera i Ważyka, wykazujące nieuchwycenie stylu autora i błędne interpretowanie tekstu Giraudoux. Przypominał się teatr symbolistów, spe-

cyficzny intelektualizm Giraudoux, potraktowany z samąk, zeszedł na drugi plan. A przy tym teatr istotnie włożył duży wysiłek w wystawieniu sztuki, a nawet podkreślano z pewną ostentacją elitarność tego wysiłku. Mamy tu przejaw owego specyficznego antyintelektualnego nastawienia, które niektórzy uważają za cechę umysłowości rodzimej.

Dialog został częściowo zagubiony, aktorzy usypiali „przeżywać” rolę, które całkiem na innych zasadach pomyślane były przez autora. Niezawodnie rzecz podobała się publiczności, bo istotnie zrobiona została ładnie, — a miejscami była nawet przeładniona, ze szkoda dla nastrojów. Na przykład zdobycie murów miejskich przez wroga zilustrowane zostało muzyką nader przyjemną i ładną, ale w niezgodzie z momentem, który rzeczywiście przemijamy przeciw nie jest. Przy tym muzyka owa głuszy dialog. Wyjście Egistosa w akcie drugim trąciło operetką.

Postacie sztuki są w istocie pozaczasowe — poszczególne wątki szkicują zarys jakiejś syntetycznej „Elektry” — nie ma więc mowy o daniu jednolitych kreacji charakterów. Od aktora wymagane byłoby przystosowanie się do tej zmienności, jaką wykazuje sztuka w operowaniu zmiennymi elementami stylowymi. Zagadnienie transformacji przeżywanego wątku, całkiem swoiste ujęcie pastiche'u wymagałoby giętkości i przystosowalności kreacji.

W każdym razie teatr poszedł po linii, która zapewniła żywcem przyjęcie sztuki przez publiczność. A przecież broniąc wyboru sztuki, wskazywano — po co ten hałas i tak sztuka nie jest przeznaczona dla mas ale dla wybranych. Tymczasem sztuka doszła do szerokiej publiczności i miała sukces. Na pierwszy rzut oka zastanawianie się nad przyczynami tego wyda się zbyteczne — rzecz jest ładnie zrobiona, a rzeczy ładne podobały się powszechnie.

Nie ulega przecież wątpliwości, że przy wszystkich różnicach w potraktowaniu, lokalnych nieporozumieniach w interpretacji — intencje teatru — „Sceny poetyckiej” — w kardynalnym punkcie zbiegają się z linią autora. Jego postawa — przy ostentacyjnym lekceważeniu strony faktograficznej, pragmatyzmie erudycyjnym w traktowaniu materiału — postuluje w gruncie rzeczy skrajny estetyzm. Mamy tu niezawodnie jeden z problemów zasadniczych „wiecznych” w sztuce. Nie ulega wątpliwości, że tendencje ultraestetyzmu w sztuce zawsze występowały w łączności z poczuciem niezgody z otoczeniem społecznym, na tle najróżnorodniejszych motywów. W epoce modernizmu hasło „sztuki dla sztuki” łączyło się z agresywnym stosunkiem do filistra, do „młodiarza”, żywiołu wrogiego, nierozumiejącego artysty. Ta odraza znowu miała najróżnorodniejsze motywy: nie można jej sprowadzać do wyraźnej tendencji antyspołecznej. Bardzo często np. hucła o charakterze obyczajowym raczej (tak było u Przybyszewskiego) występował obok braku oporu wobec istniejących warunków społecznych. Przeważnie jednak, zajmowanie przez artystę w ostro wyrażony sposób pozycji obronnej, połączone bywa z głoszeniem określonych treści, świadczących o rozdźwięku zasadniczym. Nie będe tu przytaczał dowodów, aby nie rozszerzać i tak przydługiego już artykułu — zresztą sprawa ta wydaje się dość jasna.

Wspomniałem wyżej o defetyzycznym wątku w „Elektrze”. Owo ultraestetyczne potraktowanie sztuki, owo „przeladnienie” pomaga nie wątpliwie w przyjęciu jego przez widza. Podanie bardziej bezpośrednie uczyniłoby go mniej strawnym. Ostatecznie musimy pamiętać, iż w świecie sztuki, w świecie ideologii, występują zbliżenia często dość paradoksalne pod względem konsekwencji wewnętrznych. Weźmy np. charakterystyczny dla hitlerizmu, a odziedziczony po Nietzsche i innych przodkach ideologicznych, indywidualizm. Zdáwałoby się, że nie może być bardziej być niezgodnego z koszarowym duchem, koszarowymi manierami narodowego socjalizmu. A jednak na jakimś szczeblu świadomości występowało zbliżenie. Interpretacja indywidualizmu jest pod wielu względami podobna w indywidualizmie liberalnym i indywidualizmie hitlerowskim. Wspólny mianownik stanowi tu arystokratyzm, wyniesienie się jednostki wybranej. I znowu gdy ludzie na pytanie co lepsze — niewola kraju, czy wojna — odpowiadali: lepsza niewola, skrajny pacyfizm łączył się tu ze skrajnym indywidualizmem. Życie własne stawiane ponad wszystkie konieczności społeczne czy państwowe. Podobnie asocjalny indywidualizm mamy w pojęciu sprawiedliwości integralnej Elektry. Tu występują te związki, które ściśle łączą najdalej pozornie od codzienności koncepcje estetyczne z praktyką.

Ani słowa — mieliśmy okresy, gdy nawet skrajne oddzielenie się artysty od zbyt doraźnych, zbyt płaskich wymagań odbiorcy mogło być czynnikiem progresywnym społecznie. Ale dziś tego nie widzimy — nasz estetyzm jest wyraźnie ograniczony do osłaniania pewnych idei, pewnych koncepcji, które by wcale nie wzbudziły powszechnego entuzjazmu, gdyby powiedziane było po prostu. W dyskusji w Klubie Piekwicka mówiono m. innymi o tym że okrucieństwo sztuki przyjmowane bywa jako odzwiek niezamierzony na przeżyte okropności okupacji hitlerowskiej. Jeśli tak jest — odzwiek to dwuznaczny w swej istocie, świadczący o nieprzewalczonych jeszcze pozostałościach, które — straszac w sztuce — będą długo jeszcze straszły w świadomości społecznej. Tutaj spod osłonek estetycznych wyłażą treści, których wydobycie na jaw może być pożądane, ale które przetrwać nie powinny.

Spectator

ARAGON

Przełożył Mieczysław Jastrun

Tren na śmierć pani Vittorii Colony Markizy Pescary

Jak mi słodko spać głazów martwych snem na wieki
Głęboki sen usypia posagi z kamienia
Kiedy wokół niegodny wiek zamknąć powieki
Nie widzieć nic i nie czuć w zasługę się zmienia
Cyt Zechnij głos twój ściszyć nie budź mnie z uspienia

Kto mówi tu gdzie ciszy nie nie płoszy więcej
Nie rzeźbiarz nieruchomy śniąc w komnacie progach
Pani czym nie dość cierpiał nad zgubą Florencji
Trzebaż abyś ujrzała wpiersz niż ja o droga
Pierwej niż Michał Anioł twarz żywego Boga

Dzisiaj zazdrośćem Jemu jak kwiatom ulotnym
Które nieraz mieszałaś z włosami złotymi
Ja tutaj jakże często plakałem samotny
W szkole wygnania i rozłąki w obcym Rzymie
I nieszczęściu mojemu oddam jutro łzy me

Ty o oczach zamkniętych gdzie wieczność ciemnieje
Victorio nie obejmę cię nigdy miłonej
Dotknąłem twojej zimnej ręki i boleję
Że się nie osmieliłem dotknąć twojej skroni
O straszliwe pragnienie Dziś nic mi nie broni

Pani Colonne w lożu kolumn skamieniałem
W ten dzień rozdzielający zmieniasz twarz zwodniczą
Daje ci noc grobowców rysy które dałem
Pod stropami Świętego Wawrzyńca obliczu
Tej Nocy co śni ziemię inną tajemniczą

Miłości bądź dla późnych mych lat litościwa
Miłości czyż nie byłem twą łaską bogaty
Miłości czyliś w trumnice jest bardziej żarliwa
Nic nie ukoi serca steranego laty
Ani Vittorii ani kraju mego straty

Przystań

Podróżni z Europy toczyli rozmowy
Horyzont wartownika oczy podziwiał
Pod pokładem gdzie tknęły się stonch mięs zwały
Marzenie zbuntowanych skreślały okowy
Zapomnijmy że gdy nas trunki odurzały
Ich nękało pragnienie a w grze hazardowej
Handlarze bytła którym wiatr pomierzył głowy
Tracili w czterech rzutach kości bagaż cały

Wtem niebo błędnie morze strome skały szarpie
Wyspa jak noc rozcięta nożycami czysta
Spójrzcie na tę we wieńcu ptaków morską przystań
Delfiny naokolo niej skaczą jak karpie
Fala która rozbija o brzeg porywista
Krawędź piąny wzdychając zamyka ją w szarfie
Zycście słyszeli smutek w tej powietrznej harfie
W palcach muzycznych w których pieszczota fal błyska

Jakiego obliwieńca Pani wyzwolenia
Na czarnym głazie czekasz aby cię ocalił
O Biała której płaski skała obręcz stał
Gdzie rubin branzolety jarząc w krew się zmienia
Marynarze kobietę obcą oglądali
Przybraną tajemniczo w koloru cierpienia
Do obojętnej rafy przykuta pierścienia
Naga tak piękna że drząc w zachwyceniu stał

Andromedo o Andromedo uwieziona
Czy to twój płacz czy śmiech Meduzy wśród żywiołu
Czyby dziś do wagarów skrzydłałych ze szkoły
Perseusza przywołła pokusa szalona
Zginęli bohaterzy w nasz wiek niewesoły
Od bóstw czeka mnie tylko krzywdą niezmiernona
Mów Andromeda zmarła jak to zwykła ona
Śniąc o Paryżu w włosach złocistych nad czołem

Powiedz głuchemu światu Wśród mórz niezgłębnionych
Andromeda we wieściach jego zapomniana
Może umrzeć przykuta do skały w kajdanach
Wokół krąży Meduza o oczach przelśnionych
Słowik straszy odyńce bo przemoc tyra
Niesie w sobie lekarstwo dla uciemięzonych
Uchylcie nieba Archimedesów miliony
Pieśń mą nucać olbrzymi o zgjętych kolanach

Ocean jak pustynia nlega mirażom
Przestrzeń zaciera fałdę swej ruchomej chmury
Marzyła mi się wyspa pod pachą wichury
I ta w której się krzyku nawalnice waży
Jest snem tylko co często owłada mną który
Od dnia gdy porzuciwszy łód z niechętną twarzą
Bezcynniej niż ptak spędzam czas na tym że marząc
Na dziobie statku czyham na słońca lazury

Licze przyslanie losu darmo do tej pory
Ziemia Ale nie ziemia gdzieś w dziecinistwie rozkwitł
Jak cicho Jak w podbitym kraju w dali morskiej
Podróźnicy ubrani w tweedy i bisiory
Chwałą smak wyśmienity podróży beztroskiej
Morze królowa Oni księżęta jej dworu

I życie przeszło tak jak minęły Azory
Jak rzekł poeta Włodzimierz Majakowski

Prenumerata zapewni regularne otrzymywanie „Kuznicy”. Zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata kwartalna wynosi 75 zł.

W poprzednim (14) numerze „Kuznicy” z dnia 15 kwietnia 1946.

Zygmunt Mysłakowski: O polska publicystyce polityczna. Jan Huszcza: Sierpień nad Wisłą. Pamięci ojca. Inwalidzi. Aleksander Litwin: O społecznej genealogii polskiej inteligencji. Henryk Szypier: Polski Piemont kulturowy w Lwowie w latach 1939—1941. Kazimierz Budzyk: „Szaleństwo” i wiedza o stylu. Henryk Ulaszyn: To ich boli. Adam Ważyk: Rozmaitości. Taktyka tych panów. Jan Rojewski: Siedem dni. Noty. Korespondencja.

ADAM WAŻYK

50 lat poezji francuskiej (II)

Szkic ten stanowi część przedmowy do „Antologii Współczesnej Poezji Francuskiej”, przygotowanej dla Spółki Wydawniczej „Wiedza”.

SYMBOLIZM

Termin: symbolizm, jako nazwa pewnej orientacji artystycznej, pojawił się w 1889 z prawem działania wstecz. Pod tę nazwę podciągano właściwie wszystkich poetów od czasów Baudelaire'a, którzy odwrócili się od statycznej opisowości parnasistów i gardzili sentymentalizmem w stylu François Coppée. Rozkwit symbolizmu w praktyce i teorii przypadł na ostatnie dwudziestolecie wieku, ale środki poetyckie symbolistów przepłynęły do lat następnych, odnawiały się u wielu współczesnych mimo zmienionej treści i oazkiem innego języka. W późniejszych czasach wytworzyło się złudzenie, jakoby starszeństwo historyczne należało przyznać estetyce symbolistów, od której miał się oderwać zespół ich środków i powędrować dalej prawem autonomicznego rozwoju. Tymczasem Rimbaud czy Verlaine czy Tristan Corbière, pierwsi roznościciele tych środków poetyckich, nie znali estetyki, która uformowała się w czasach Stefana Mallarmé. Przy głębszym wejrzeniu okaże się, że podobnie jak w dziejach kultów religijnych rytuały zmieniały się rzadziej od mitów, tak i środki poetyckie przeżyły kilka pokoleń estetycznych, podlegały wprawdzie ich wpływom, ulegały modyfikacjom, ale żywotniejsze czy bardziej uparte, zastygły na to, aby je traktować jako decydujące składniki sztuki poetyckiej.

Mistrz symbolistów Mallarmé na ankietę, co to jest poezja, odpowiedział: „Poezja wyraża w języku ludzkim, wprowadzonym do swego istotnego rytmu, tajemniczy sens naszego bytu”. Dla współczesnych mu poetów te słowa były pełne sensu który nam, niestety, przecięka przez palce. Inni symboliści tych czasów twierdzili, że poezja obcuje z absolutem. Co ma z tym począć czytelnik nie wierzący w tajemniczy sens naszego bytu ani w absolut? Człowiek religijny mógłby powiedzieć, że niedzina to zagadka bytu, która się kończy wraz ze śmiercią.

Poglądy symbolistów pochodziły z po heglowskiej idealistycznej filozofii niemieckiej, która nie oglądała się zbytnio na rozwój nauki. W ówczesnym stanie pojęć poza granicami poznania naukowego można było swobodnie mówić o możliwości jeszcze innego poznania, które nie konieczne musiało mieć charakter religijny. Wiara w absolut wyrzekała raczej religie, do brodu sznie wypieraną ze sfer inteligencji mieszczańskiej postępowymi naukami przyrodniczymi. Nie powoływano się wcale na intuicję, to pojęcie nie zdążyło jeszcze wtarznąć do języka filozofii. Nie rozglądano na rogach ulic, że rozum ludzki jest przestarzałym mechanizmem. Choć estetyka symbolistów rozpadła się w naszym stuleciu, to jednak szczątki wiary w poznanie estetyczne, łącząc się z późniejszymi wpływami filozofii antyracjonalistycznych, albo też z psychoanalizą, zasiały pretensje poetów do niesienia obywateli o naturze świata lub człowieka. Na szczęście te pretensje nie decydują o urodzaju poezji.

Poglądy wygłaszane przez poetów w znacznie mniejszym stopniu odpowiadają ich praktyce niż to się zwykle przypuszcza.

ILUSTROWANY KALENDARZ
GORNICZY

nakładem Biura Informacji i Propagandy Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego

T R E Ś Ć

Dział oficjalny z przedmową min. Mince. Dział ogólnopolski. Przemysł. Dział węglowy. Województwo Śląsko-Dąbrowskie. Na ziemiach polskich

Cena 90 zł.
Siron 299

Skład Główny Księgarnia Techniczno-Naukowa Mgr Wojnarowski Katowice, ul. Młyńska 2

cza, dlatego też wiele klótni ozdabiających życie literackie rozmią się z utworami poetyckimi, a przecież utwory stanowią decydujące i trwałe fakty kulturalne. Nawet już uprzedzony czytelnik nie znajdzie w „Popołudniu Fauna”, w „Wachlarzu panny Mallarmé” ani nawet w słynnym sonecie o łabędziu, nic cooby świadczyło o wierze autora w jakowąś tajemnicę naszego bytu. Według innych, łagodniejszych określeń symboliści mieli traktować język poezji zwłaszcza obrazowanie jako symbol przeżyć wewnętrznych. Czy można odnieść to do Stefana Mallarmé i wielu innych poetów tej szkoły? Czy można określić w ten sposób Saint-Pol-Roux? Wydaje się to równie wątpliwe jak sens obiektywny samego określenia, a tymczasem podobieństwo środków poetyckich chociaż trudno je wyłożyć, uderza każdego czytelnika, który dłużej obcuje z poezją.

To jedno jest pewne, że symboliści unikali opisu. Bez względu na to, czy temat leżał bliżej świata przedmiotowego, czy bliżej sfery uczuć ludzkich, w poezji ich górowała tendencja do przedstawiania tematów w aluzjach. Charakter tych aluzji stałe rozluźniał więź między ośrodkiem tematycznym, a obrazem poetyckim porównaniem czy metaforą; w czasach Stefana Mallarmé redukował też plastykę i konkretność obrazu; wywoływał mgiełkę; łączył się ze skłonnością do umuzykalniania wierza.

Aluzje Stefana Mallarmé zmuszają myśl czytelnika do pracy. Mimo wszystko ośrodkiem tematu jest tu fauna, wachlarz, czy łabędź. Poeta nakłada czytelnikowi opaskę na oczy, każe mu obmacywać meble i odgadnąć wygląd pokoju. Maeterlinck wprowadza czytelnika do ciemnicy, przywołuje na pamięć baśni o przesładowanych księżniczkach, liczy tylko na mglisty reminiscencje w umyśle czytelnika, jedynym bodaj jego tematem jest niepokój wewnętrzny i lęk śmierci. Postępowanie Stefana Mallarmé pokazało się praktyczniejsze.

W tym samym czasie zjawili się słoni w składzie porcelany. W poezji Saint-Pol-Roux obrazowanie aż do przesady brutalne i natarczywe, usamodzielnione metafory opłatały temat ornamentyka. Symbolizm w tym wydaniu nakładał się na statyczną opisowość parnasistów.

U późniejszych poetów, jak Anna de Noailles, czy Francis Jammes środki szkoły symbolicznej rozciągnęły się w bezpośrednim opisie. Zmienił się w ciągu lat materiał służący do aluzji. Jules Supervielle, którego twórczość rozwinęła się w latach międzywojennych, nie stronił od tych środków, ale mówił językiem anatomii, botaniki, astronomii, filozofii, mieszając to po swojemu. W nauce i życiu codziennym nie można mówić jednocześnie o stole i o przedmiocie użytkowym i jako zbroń roku atomów. Okazuje się że w poezji można, przynajmniej Jules Supervielle to potrafi. Paul Valery, który ograniczył się prawie wyłącznie do wyobrażeń antycznego świata, doprowadził w swej poezji aluzje do kanonu. Valery głosił estetykę, którą nazywają niekiedy neosymboliczną. Twierdził, że język poezji ma z natury swojej różnić się od mowy zwykłej, że ma być mową inną przenośną. Oto więc główne cecha środków poetyckich podpatrzona u symbolistów, przemieniła się z kolei w podstawę nowej estetyki, która jak każda inna stara się zlekceważyć nieprzychylnie sobie zjawiska poetyckie. Czekają nieuchronnie taki sam los, jaki spotkał jej poprzedniczkę. Wartość utworów, popieranych tą estetyką, czas będzie jak zwykle oceniał niezależnie od subiektywnych pojęć, które im towarzyszyły. Na tym i tylko na tym polega inność produktów artystycznych. Poeta ludzi się, że nadaje w nich kształt swojej estetyce, gdy tymczasem zamyka w nich coś innego, coś znacznie trwalszego.

GEST KLASYCZNY

Ostatnie dwudziestolecie ubiegłego wieku było w życiu gospodarczym i społecznym Francji okresem względnej stabilizacji. Podboje kolonialne podniosły etone życia metropolii. Zaczęła się wytwarzać warstwa arystokracji robotniczej. Równocześnie po roku 1871 zamaria taktyka rewolucyjna. Mieszczanin zmieniał się w rentiera, inteligencja artystyczna trybem swego życia, obyczajami, świadomością wstąpiła w stateczne mieszczaństwo.

Pod koniec stulecia przemysł metropolii okazał się zaniedbanym w stosunku do innych państw kolonialnych a tymczasem konkurencja imperialistyczna wzrosła. Zaniedbanie to odrabiała nowoczesna organizacja kapitału przemysłowo-finansowego. Francja od dawna była krajem bankierów ale ich rola w przemyśle zmieniła się, wzrosła tak samo jak w innych mocarstwach. Wraz z nowoczesną organizacją

kapitału i konkurencją imperialistyczną zaczęły się wylaniać nowe koncepcje nacjonalistyczne. Rozkwit imperium miał jakoby usunąć bolączki socjalne, głoszone solidaryzm społeczny, zgodną współpracę wszystkich klas dla dobra imperium, przed stawiano to jako wielkie zadanie narodowe. W porównaniu z późniejszymi oszustwami faszyzmu były to jeszcze kłamstwa łagodne i umiarkowane.

W życiu umysłowym występowały na powierzchni pierwsze fale nowej myśli nacjonalistycznej. Zjawiał się w publicystyce i literaturze „duch łaciński”, idea dotąd nieznaną. Przybysz próbował zdobyć w pensjonacie muz „szkołę łacińską”. Program nauczania obejmował Rzym starożytny i renesans francuski, trzecie wcielenie ducha łacińskiego miało się odbyć w XX stuleciu.

Czytając po latach cyzelowane na modłę klasyczną stance Moréasa, trudno odgadnąć, że ten styl poetycki początków naszego stulecia powstał w określonym nastroju politycznym. Tym trudniej, że Moréas żłobił w marmurze wcale nie te motywy uczuciowe, które chciałby dyktować poezji młody nacjonalizm starczego kapitalizmu, więc zamiast poczucia spokoju, siły i pewności zastygło w pozie klasycznej poczucie osamotnienia, smutek pogrobowca, zgrzyzota życia męskiego, słowem te same motywy, które skrywały się w mgławicy u wielu symbolistów. Łatwiej o zmianę stylu, niż treści uczuciowej, zwłaszcza kiedy styl jest imitacją.

Nawroty do pojęć klasycznych, naśladowanie monumentalnego stylu dawało w ciągu XIX wieku imitację coraz to wątpliwszej treści. Nie pierwszy bowiem raz nakładano na sztukę maskę antyczną. Działło się to samo w latach wielkiej Rewolucji i Dyktorii, kiedy młoda burżuazja chwytając władzę drapowała się w cnoty starorzyskie i przybierała gest pomnikowy. Powtórzyło się to w gorszym wydaniu za Napoleona III, kiedy podbił kolonie i budował Imperium. Parnasiści, wcale nie przekonani do cesarstwa robili jednak styl cesarski: zainteresowania krajami egzotycznymi, archeologia i światem starożytnym zbiegły się z ich stoicyzmem. Stytka, ten artystyczny odpowiednik stateczności, kusila warstw panujące, flekroć łączyły siebie i świat, że zapewnią mu równowagę. Na gwałt budowania imperium nie lubi się legitymować inną sztuką, jak monumentalną. W latach, kiedy wzrastała rywalizacja imperialistyczna, zaczęło okładać bramy czynszowych domów sztuczny marmurem o kararyjskim żyłowaniu, imitowano rzymskie wodotryski w przedślonkach music hallów. Kariatydy miały wyrażać spokój i potęgę. W poezji równowaga moralna, której wcale nie było, miała się wesprzeć na ornamentyce klasycznej. Równowaga moralną zastępował chłód. Dobroduszny drobniomieszczanin nazywał to klasycznym kaprysem moderny. Była to rzeczwiście moda sezonowa, bo wkrótce potem treść i forma miała się przedziwnie powikłać, ale te same maniry klasyczne aż do drugiej wojny wciąż się zjawiały w poezji, zbyt tanim kosztem pretendując do równowagi, gdy tymczasem życie wewnętrzne narodziło kołosało się coraz gwałtowniej.

KONWERSJA

W powieści „Jean Barois” wydanej w 1913 Martin du Gard dał obraz życia umysłowego dreyfusardów, pierwszych radykałów francuskich. W kilka lat po rozgrywce, w której odparto zamach na republikę parlamentarną, garstka wiernych dreyfusardów schodzi się rozgorączcona: życie ocalonej demokracji nie potoczyło się po ich myśli. Jean Barois, dla którego najważniejszym przeżyciem duchowym była utrata wiary dzieciństwa, głosi poglądy wolnomyślicielskie w ośrodkach robotniczych a kiedy po dłuższej przerwie styka się z nową młodzieżą uniwersytecką staje zdumiony; argumenty wolnomyślicielskie nie trafiają do tych ludzi. Prawda naukowa jest dla nich równie niesprawdzalna, jak objawienie religijne. Prawda stała się kwestią wyboru. Wybierają religie bo to uwalnia ich życie duchowe od wielu konfliktów. Porzucona wiara dzieciństwa czeka na powrót marnotrawnego syna Jena Barois.

W rozgrywce rozpetanej dokoła sprawy Dreyfusa radykałowie mieszczańscy sprzymierzeni z ruchem socjalistycznym odnieśli zwycięstwo nad siłami, za którymi niepostrzeżenie stanął kapitał finansowy. Zdyskontowano ten sukces za pół darmo tyle że oddzielono kościół od państwa. Nie udaremniło to kartelizacji przemysłu zrastania się kapitału przemysłowego z bankowym. Nie mogło to zapobiec wstrząsom gospodarczym i na przemian wzmaganiu się walki klasowej. Zarlatwy dreyfusard Charles Peguy szybko

rozczarował się do demokracji parlamentarnej. Religia, zwolniona z odpowiedzialności za niepokojący obrót życia świeckiego zdobywała sobie awans w rozczarowanych sferach intelektualnych.

Materializm radykałów, żywiołowy i mechaniczny, tradycja racjonalizmu volterjańskiego, cała aparatura myśli, którą reprezentowali dreyfusardzi nie była przystosowana do odparcia nowych ataków na kompetencje nauki, na wartość inteligencji ludzkiej. Na widokregu filozofii wscho dził pragmatyzm, konwencjonalizm, wreszcie najbardziej jadowity witalizm Bergsona. Zarysowała się serla kryzysów w naukach ścisłych, nad biologią zawisło beznadziejnie ignorabimus. Rozum ludzki przedstawiano już jako przestarzały mechanizm z XIX wieku. Wszystko było trudne do pojęcia, promieniowanie radu, inteligencja pszczoł, pochodzenie pierwotniaka, zagadka eteru kosmicznego, robotnicy i bankierzy, świat, który się zmieniał. Świat wyglądał coraz to chaotyczniej, filozofia tłumaczyła, że świat jest nę do pojęcia. Do sfer intelektualnych żłobił sobie drogę prad, który przybrał nazwę odrodzenia katolickiego. W późniejszym okresie międzywojennym, w latach jeszcze potężniejszych wstrząsów życia społecznego nowych kryzysów w nauce, w obliczu faszyzmu i wojny, przetrwał ten miał znaleźć najponętniejszy dla artystów wyraz w neotomizmie Maritaina.

Od początku stulecia życie literackie zaczęło notować fakty nawracania się poetów na katolicyzm. W ogólny prad mogły się wlewać i motywy życia osobistego, ale to już należy do anegdot, a nie do zjawisk artystycznych. Nawróceni poeci przeważnie zresztą urodzili się w wierze katolickiej. Wiek ubiegły takiej konwersji nie znał. Verlaine nie nawrócił się podczas pobytu w więzieniu, tylko silniej przywłażzał się do wiary. Dla Baudelaire'a katolicyzm był składnikiem kultury własnej i społeczeństwa, z którym się kłócił. Poeci, drugiej połowy ubiegłego wieku bluznili w porywach buntu, nawracać się nie mieli na co, religia była wciąż zawarta w ich pojęciach o świecie. W tym zresztą stanie wyobrażenia religijne przeszły do pospolitej produkcji poetyckiej w późniejszych czasach. W twórczości Francis Jammes'a wiara miała już charakter konwersji, powrót do religii wiązał się z tradycjami bytu wiejskiego, z ucieczką od konfliktów rozgrywających się w nowoczesnej metropolii. Długoletni urzędnik służby dyplomatycznej Claudel twierdził, że do konwersji pchnął go chaos Rimbauda. Si non e vero e bene trovato. Ten, który uwięził „nieporządek swojego umysłu”, stawał się coraz bliższy poetom nowego stulecia. W przedmowie do dzieł Rimbauda Claudel pisze: „Arthur Rimbaud był mistykiem w stanie dzikim”. Słowa te z pewnością bardziej charakteryzują Claudela, niż Rimbauda. Mistyka budowała swoją arkaadę nad piekłem nieporządku niezależnie od tamtej pseudoklasycznej.

ZEJŚCIE DO PIEKIEŁ

Stabilizacja oparta na stosunkach gospodarczych z okresu podboju kolonii i surowcowej eksploatacji terenów zamorskich zachwiała się u progu stulecia, po pierwszym wielkim jak na ówczesne pojęcia kryzysie, miały się co kilka lat ponawiać bankrutstwa ekologiczne, afery giełdowe, ztrata oszczędności ciułacza. Stateczny kapitał przemysłowy nie wytrzymał szoków gospodarczych i zmian technicznych awanturczy kapitał finansowy rozszarpał sfery przemysłowe na grupy, z których jedne wzrastały w monopolistyczną gospodarkę, inne marniały.

Rozszerzyła się wprawdzie bezczynna warstwa rentierów, ale równomiernie los mieszczańsk! ustąpił miejsca koniunkturrom, pomyślność zaczęło liczyć na sezony. Rentier zapuszczający wędkę w spokojną rzekę, nie myślał już o wieczności, mówił sobie szeptem, że nie pod słońcem trwałe. Nie wiadomo co będzie jutro—mówiła afera panamska. W mieszczańskich domach zdobywanych rzymskimi kolumienkami nie odradzały się antyczne cnoty republikańskie, ze starożytności przeniknąć mogły conajwyżej epikurejskie dewizy Horacego: korzystaj z dnia, jak najmniej ufając w przyszłość. Metropolia zmieniła się przecież w pracowity żółądek kolonii.

Zmiany pojęć odbijały się w lustrze poezji. Rozpadały się rzeczy wieczne: duża i bezwzględna norma moralna. Zjawilo się szczęście jednej godziny i śmierć brutalnie strząsnęła z siebie mgiełkę dawnych symboliów. W lusterku Anny de Noailles szczęście tańczyło ze śmiercią. Wiensze Anny de Noailles wielbiły młodość, słodycz życia, gorąco żył, bujność natury i równocześnie syciły się myślą o śmierci, po której czeka nas tylko

zbutwienie i rozpad materii. Ludzi nie wierzących w życie pozagrobowe Francja miała od lat wielu nawet w sferach posiadaczy, tylko że nikt nie karmił poezją tą pospolitą niewiarą. Dreyfusardski racjonalizm zszedł się z propagandą konsumpcji. Pod osłoną racjonalizmu przeznaczenie grup społecznych, które zawsze wytwarza w sztuce obraz losu indywidualnego, goniło za przelotną godziną szczęścia i brutalnym widmem rozpadu nie po śmierci, ale za życia.

Propaganda wzmożonej konsumpcji, zwana w stosunkach handlowych reklamą, zwalczała konserwatywne nawyki mieszczaństwa. Służyły jej wynalazki wielkie i małe, motor spalinowy i cuda toalety. Konsumpcja wyznaczała kierunek zmianom obyczajów. Auto zaczęło wypierać powóz, ekspresy zapraszały na Rivierę, statki luksusowe wozły szczura lądowego na wyspy. Rozwinęła się turystyka, najdoskonalsza forma konsumpcji. Podróż stała się obowiązkiem i potrzebą nawet drobnej burżuazji. Synowie zawstydzali rozrzutnością ojców, potrzeby ich wzrastały, oszczędności i tak niepewne, kurczyły się, podnieła i zaspakajanie zmysłów zmieniało się w sens życia. Jakież były jeszcze tajemnice bytu? Konsumpcja wtargnęła do sztuki jako nowa wartość: syceńnię zmysłów, kąpiel w żywocie życia.

Sensualizm Anny de Noailles należał jeszcze do wczesnej umiarkowanej formacji, miał wyraz bezpośredni, sam się określał. Poetka gorszyła matkę, odgadywała myśli córki, publiczność ją czytała, inni poeci stawiali się niewyrażni, nieuchwytni. Świat realny i kontemplacja świata, wartości moralne i umysłowe, wszystko zmieniało się w pokarmy, niebieskie albo ziemskie, ale zawsze pokarmy, umysł przejmował rozkoszne funkcje żołądka. W 1908 Valery Larbaud puścił w podróż po Europie fikcyjną postać amerykańskiego multimiliardera Barnabootha. Międzynarodowe związki wielkiego kapitału otrzymały swoją postać literacką, kosmopolitę z restauracyjnego wagonu, humanistę z okien ekspresu. Barnabooth w swoich wierszach korzył się, że jest bogaty, skarżył się na ssącą go pustkę wewnętrzną, chciałby coś przeżyć naprawdę, choćby upodlenie, ale chwiejąc się obrazami wszystkich cywilizacji i biadał, że dorobek jego wrażliwości zejdzie z nim razem do grobu. Nie wiedział tylko, czy wspaniałość pochłanianego świata gra w jego duszy, czy burczy mu w brzuchu.

Sensualizm multimiliardera przeniknął całą atmosferę literacką, znalazł oddźwięk w nowej i na nowo buntowniczej inteligencji drobnomieszczańskiej. Bumerang rzucony z lux-ekspresu wrócił na Montmartre, między ostatnią cyganerię. Podjęto go dziwnym okrzykiem: „Niech żyje Rimbaud!”

Przed piekłem Rimbauda uciekało wielu, jedni do katolicyzmu, inni jak grupa „abbayistów”, próbowali leczyc się altruizmem, inni wreszcie przyprowadzili styl sentymentalnej liryki bobkowym liściem ironii. Ktoś musiał przecież zejść do piekieł.

Rozbudzone zainteresowanie światem nie poszło w parze z trwałą myślą humanistyczną. Rozpad treści, widoczny już u symbolistów postępował, w kryzysie duchowym inteligencji odradzał się spotęgowany „nieporządek” Rimbauda. To co było niegdyś wypadkiem krańcowym, indywidualnym, stało się zjawiskiem typowym. Dysocjacja tematu u Rimbauda kończyła się zgonem poezji, grobowym milczeniem. W roku 1908 chaos rozchwieanej treści zachwylił się własną urodą.

Nawrócenie na katolicyzm, które ustrzegło Claudela przed piekłem oderwanych wizyj i hasów, nie ocaliło Maksa Jacoba, wiara wyprowadzała go tylko z piekła do czyszcza. Naturalnie nic na tym nie traciło doświadczenie poezji. Rozpad treści zaczął się legitymować nowym pojęciem formy. U Apollinair'a znajdował swoją analogię raz na nieoświeconym szczeblu piśmiennictwa odpustowego, to znowu na ciemnym magicznym szczeblu kultury afrykańskiej, w rzeźbie murzyńskiej. Nowe pojęcie formy, które zaczęło kursować wśród poetów, uwzględniało rozróżnienie związków logicznych co więcej, uzasadniało je skwapliwie, podobnie jak kubizm w praktyce malarskiej brał za zasadę rozbitcie przedmiotu optycznego. Interpretowano formę jako coś nadrzędnego w stosunku do treści, mówiono, że forma organizuje treść. Zupełnie słusznie, zabrakło przecież decydującego czynnika humanistycznego, który by treść porządkował i służył jej za oś krystalizacyjną. Poeci nowatorzy rozmaicie odczuwali i subiektywnie określali ten nowy stosunek formy do treści. Niezależnie od ich odczuć, obiektywnie, ten nowy związek był taki, jak przy polerowaniu lustra, w którym przegląda się chaos.

(Dokończenie nastąpi)

Adam Ważyk

PAWEŁ HERTZ

Do Dymitra

*Twojego profilu na tle miedzi
już czas nie wytrze.
Daremnie pamięć nasza się biedzi --
on trwa, Dymitrze!*

*A pamięć bywa zapewne różna:
taka co chowa,
niby bilety torba podróżna,
rosyjskie słowa.*

*I taka bywa, gdzie wojna leży
ukryta sztucznie:
w niej sny musztruje niby żołnierzy
młody porucznik.*

*I taka bywa, co gubi, chyża,
umarle troski
i przypomina światła Paryża
wśród białej Moskwy.*

*I jeszcze — wstaje czasem w oklaskach,
w przelotnej sławie
lub trwa na nadwiślańskich piaskach
w dawnej Warszawie.*

*Więc ja pamiętam na każdy sposób
ten profil ryty.
Pamięć spletała jak pukle włosów
czas różnolity.*

*I czas zostanie. I rząd szubienic
jak las niemiecki,
trwalszy nad spiz nad medal mennis
rzymskich czy greckich.*

HENRYK SZIPPER

Polski Piemont kulturalny

we Lwowie 1939—41 r.

Wiosną r. 1941 zaczęto się coraz bardziej interesować dorobkiem Lwowa w innych ośrodkach polskości: nie tylko na terenie ukraińskiej R.R., ale także Białoruskiej i świeżo przyłączonej do Litewskiej. Z Białegostoku i Wilna Polonia zwracała się coraz usilniej do Lwowa po wskazówki, wzorów i podreżanki.

W maju 1941 r. grupa lwowska pełna była projektów zmierzających do przekroczenia opłotków lokalnych i stworzenia wielkiego Piemontu kultury polskiej na terenie ówczesnych ziem zachodniego Związku Radzieckiego. Piemontu od Niemna po Karpaty, oparte go o ludność polską miejscową i uchodźczą, w zgodnym współdziałaniu z braćmi narodami ukraińskim, białoruskim i litewskim. Jak po trzecim rozbiórce Polski germanizujący przez Prusaków Polznanowi i Warszawie oraz austriackiemu Krakowowi przeciwstawił Adam ks. Czartoryski uniwersytet wileński, liceum krzemienieckie wraz z szeroko rozbudowanym systemem polskiego szkolnictwa i oświaty, tak teraz, w odmiennym układzie społecznym-politycznym, odpowiedzialną za dławienie kultury polskiej przez hitlerowski barbarzyńce miał być również polski Piemont kulturalny na ziemiach Białorusko-ruskich. Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej odroczył realizację tych pomysłów i przesunął ją bardziej na wschód, kiedy to w dwa lata później w głęboką Rosję do tych planów nawiązywał w innej konstelacji Związek Patriotów Polskich.

Przechodząc do omówienia najważniejszego — jeśli chodzi o masowy zasięg oddziaływań ośrodka kultury polskiej, tj. do szkolnictwa z polskim językiem wykładowym we Lwowie.

W czasie od 1 września 1939 r. do końca roku odbywało się przejmowanie i upaństwowienie szkół oraz tworzenie administracji szkolnej. W okresie od 1 stycznia 1940 r. do czerwca tegoż roku nadawano szkołom ustrój i programy szkolnictwa radzieckiego. Żadnych zmian w języku wykładowym do tego czasu nie przeprowadzano. Nastąpiły one dopiero z początkiem roku szkolnego 1940/41.

Jak przedstawiało się szkolnictwo polskie ilościowo? Przed wrześniem 1939 r. istniało we Lwowie 15 gimnazjów państwowych w tym dwa z językiem wykładowym ukraińskim. Za rządów radzieckich dokonano komasacji i utworzono z tych 15 gimnazjów 13 dziesięcioletnich szkół średnich. W r. 1940/41 pozostawiono z językiem polskim 7 zakładów; język państwowy (ukraiński) wprowadzono w szkołach ukraińskich i w tych, które posiadały znaczny odsetek młodzieży żydowskiej. Wśród prywatnych szkół średnich, które upaństwowiono, pozostały trzy dawne gimnazja żeńskie z językiem ukraińskim, zukrainizowano wszystkie zakłady żydowskie w ilości 5 polski język zachowały wszystkie dawne szkoły zakonne w ilości 5, nado trzy gimnazja

W i e r s z e

Smuga cienia

*Jest smuga cienia między nami,
mój zapomniany sobowtórze,
„Du Doppelgänger... „tak wierszami
pisałem imię twe na murze.*

*I tak niewiele pozostało:
uliczka, okno, twarz pobladła
i pochyłony u zwierciadła
turysta świata. Tak, to mało!*

*A obok czasem świt wystrzeli
dla ptaka albo dla motyla.
A dla nas — ciemność. Ciebie nas dzieli,
większy co chwila.*

Do poety

*Narody, królów i cesarstwa
tak zmywa srogi czasu prąd
że z nich zostaje piasku garstka
i na pomnikach liter rząd.*

*Od babilońskiej pierwszej wieży
do wieży Eiffla — proch i pył.
I czas jak trupia czaszka szczerzy
uśmiech, że kiedyś przecież był.*

*Więc co nam czynić? Fortepianem
zatarasować bramy lat?
Odmierzać świetne lata planet?
W zielnikach suszyć rzadki kwiat?*

*Czuje zwierzęta i kamienie
badać, by ich nie pożarł czas?
Wgłęb ziemi ryc się niestrudzenie,
w neolit, miocen kredę, trias?*

*Nic, Tylko nocą ślęczeć hardo
I ludzkim rzeczom dawać głos,
by nad niewolą i pogardą
nie sobie — ludom wybrać los.*

O d a

*Pozwól mi końce wierszy gładzić,
znajdować ludzką rzecz w cezurze.
Nie mogę tego świata zdradzić,
bo tylko jemu wierszem służę.*

*Na pustej ziemi z wykopalisk
dźwignięty leży tors pęknięty.
Dawni umarli nas kochali,
a to są dla nas testamenty.*

*Złoto i marmur dla budowy
będą potrzebne jak dziś cegły.
Dla nowych ludzi marmurowy
dom wzniesie budowniczy biegle.*

*Gładzona strofa przetrwa pomnik
czasu pokoju, czasu wojny
i wyzwoleni już potomni
powtórzą rzymski wiersz spokojny.*

*Przetrwają sądu dzień i kary,
czułości czas i czas nieczuły
gładzonych wierszy ludzkie miary
i horacjanських strof reguły.*

*Pozwól mi końce wierszy gładzić
i ciężar świata nimi ważyć.
Nie mogę tego świata zdradzić,
cokolwiek by się miało zdarzyć.*

świeckie. Ponieważ utworzono ponadto dla przybywców ze Wschodu dwa zakłady z językiem rosyjskim i jeden z ukraińskim, ogółem było pełnych szkół średnich 31, z tego 15 z polskim językiem wykładowym.

Jeśli chodzi o szkoły powszechne, to zamieniono je na siedmioletnie „niepełne szkoły średnie”. Język wykładowy ukraiński otrzymały szkoły ukraińskie, żydowskie lub posiadające duży odsetek dzieci żydowskich, wszystkie inne, zwłaszcza w największej dzielnicy południowo-zachodniej, zachowały język polski.

Na rok szkolny 1941/42 była zapowiadzana rozbudowa polskich placówek oświatowych, które początkiem miały być tworzenie zakładów kształcenia nauczycieli z polskim językiem wykładowym.

Przez cały czas rządów radzieckich czynne były wyższe uczelnie: uniwersytet, politechnika i akademia weterynarii. Zgodnie ze statutem obowiązującym w ZSRR miał być w nich wprowadzony jako wykładowy język państwowy republiki. W praktyce wykładał w tym języku tylko nieliczny uczeń ukraiński, miejscowi i naddnieprzańscy, świeżo zaangażowani, natomiast profesorowie Polacy uczyli nadal w języku ojczystym, Władze radzieckie chlubili się nimi, poniewiaży ich, bez względu na przedwojenne przekonania czy działalność polityczną, przydzielały dotacje na rozbudowę zakładów badawczych, zapraszały na wykłady i zjazdy naukowe do stolic Rosji i Ukrainy. W prasie radzieckiej zamieszczano ich życiorysy, fotografie, wywiady z nimi itp.

W związku z tą pieczą nad szkolnictwem akademickim pozostawał fakt, że w tym czasie znacznie rozbudowano katedry literatury i języka polskiego. Kierownikiem pierwszej został profesor Juliusz Kleiner, który pomimo przekonań katolickich, ogólnie znanych, cieszył w radzieckich sferach naukowych zasłużoną opinią uczonnego, na miarę światową. Obok prof. Kleinera byli czynni prof. E. Kucharski i St. Lempiński, nadto sztab płatnych docentów i asystentów, których zwolniono od wszelkich zajęć dodatkowych (w szkole średniej czy gdzie indziej). Kierownikiem katedry języka polskiego został prof. Witold Tazyski, który posiadał również pokaźne grono współpracowników. Wyrzem intensywniejszej pracy katedr polonistycznych był ich wydatny udział w publicznych sesjach naukowych Wydziału Literacko-Filologicznego. Poza tym udzielały one również pomocy szkolnictwu ogólnokształcącemu.

Władze szkolne powołały na terenie Lwowa dwa instytuty języka polskiego. Jeden w „Instytucie Udoskonalenia Nauczycieli” obsługiwał głównie prowincje (Obwód Iwowski); na czele jego stał zrazu dr Adolf Schall, polonista lwowski - łódzki, później pomagali

mu: znany rewolucjonista, b. nauczyciel języka polskiego w Samborze, Tadeusz Jurašek i wspomniany już Bronisław Nadolski. Drugi instytut powstał w Gabcinie Metodycznym przy Wydziale Oświaty Ludowej (Inspektoracie Szkolnym) m. Lwowa, będącym władzą zwierzchnią nad całym szkolnictwem ogólnokształcącemu miasta. Temu instytorowi podlegały szkoły polskie Lwowa, a kierował nim piszczyk te słowa. Dzięki działalności tych placówek cały obwód pokrył się siecią kół skłaniających nauczycieli - polonistów w pracy nad dydaktyką języka ojczystego. Oprócz kół dzielnicowych czy powiatowych istniały nawet koła jednoczące polonistów z kilku pobliskich szkół. Normalnie zbierały się coła przynajmniej raz na miesiąc; kilka razy w roku odbywały się konferencje masowe. Przez hospitowanie szkół, liczne konsultacje masowe i indywidualne, organizowanie pomocy metodycznej w postaci instrukcji, plany standardowe, wzory lekcji itp., stworzenie biblioteki polonistycznej w Miejskim Gabinecie Metodycznym i inne zabiegi starano się zapewnić szkołom wysoki jak na stosunki wojenne, poziom nauczania języka i literatury ojczystej. Instytutorzy znaleźli wszystkie bojątki szkoły polskiej i wielokrotnie przeciwdziałali zlej woli nacjonalistów ukraińskich, nieraz ze skutkiem, w czym duży był zasług Borejszy.

Najwięcej kłopotu sprawiało nauczycielstwu polskiemu zorientowanie się w nowej sytuacji. W kresowym Lwowie klimat polityczny wśród inteligencji był zawsze dość reakcyjny; w ciągu rządów sanacyjnych, które tu przybierały szczególnie jaskrawe formy, przyzwyczailo się nauczycielstwo do bezwzględnego posłuchu, odwykło od krytycyzmu i protestu. Skutek był taki, że potem okazywano często przesadną gorliwość w stosowaniu zarządzeń władzy radzieckiej. No, kiedy nakazano polonistom doraźnie przeprowadzić oczyszczenie bibliotek szkolnych, zanim uczyni to tak zw. Oblił, zdarzały się wypadki, że usuwano niektóre powieści Krąszewskiego, w których mowa była o królach (bo to niby propaganda monarchizmu), wyrzucono arcydzieła Sienkiewicza, tłumaczone i podziwane w Związku Radzieckim, eliminowano książki o powstańcach polskich przeciw caratowi (bo to — panie dzieciu — też byli Moskale) i t. p. Na pewnej konferencji jakiś nauczyciel zalecał popularyzowanie wśród młodzieży Józefa Korzeniowskiego, podając jako motyw, że Korzeniowski... zajmował wobec Rosji stanowisko ugodowe. Był nawet pewien wizytator, który Kochanowskiego chciał traktować jako poeę obszarńictwa, a ktoś inny uznał Szymona Szymonowicza za reakcjonistę, bo poeta ten był profesorem lańcisłkiej Akademii Zamojskiej obsługującej ziemie kresowe, przez co pośrednio autor „Żelców” przyczynił się do kolonizowania

kolejno Weber, Specker i Fraenkel. I równocześnie przywódca emigracyjnej socjal-demokracji dr. Vogel, blisko stojący brytyjskich Trade - Unionów, oświadcza w listopadzie 1944 roku na wielkiej akademii emigracyjnej ku czci Thaelmanna, Bretscheida i Goerdellera (zamordowanego po 20 lipca 1944) w Londynie: „Gdy kiedyś historia ujawni wszystkie koleje heroicznego walki Niemców przeciw Hitlerowi i zliczy ilość ofiar, wstyd ogarnie tych wszystkich, którzy dzisiaj nie chcą odróżnić dobrych Niemców od morderców hitlerowskich“, ciągnąc dalej wśród burzy oklasków: „Ueber Versailles“ jaki chcą zgotować narodowi niemieckiemu pewne koła zwycięzców, będzie bronią przeciwko nim samym. Obcięcie terytorium Niemiec i zniszczenie gospodarce naszego kraju to nie są środki do stworzenia lepszego świata“.

W bohaterkim oporze „narodu w więzieniu“ przeciw bestialskiemu reżimowi odegrał ponoc główną rolę zakonspirowany sojuszek kościołów i niedobitków niemieckiej lewicy reklamowany szeroko przez emigrację. Kazania pastora Niemoehera, jedynego zresztą męczennika, listy pasterskie biskupa Muensteru hr. von Gallena i protestanckiego biskupa Wirtembergii dr. Wurma, cytowane gdzie się dało i nie dało przez cały czas trwania wojny. Podaje je czytelnik i Fraenkel w cytowanej książce „The other Germany“, mimo, że są one niesłychanie ogledne w tonie i słowach i atakują tylko ingerencję partii w życie kościelne oraz, że biskup Wurm nie zapomina o umieszczeniu w swoim posłaniu zdania: „Jesteśmy naszym sercem z narodem, jeśli chodzi o sprawy wielkiej decyzji historycznych“. Zdanie to padło w Stuttgarcie — 22 września 1941 roku.

Trudno czytelnikowi żądać od emigracji niemieckiej, aby pamiętała także, że dzisiejszy kardynał, a ówczesny biskup Muensteru Gallen był współsygnatariuszem czterech listów pasterskich księcia katolickiego w Niemczech czasu wojny, zawierających m. in. takie zdanie: „naród niemiecki, opierając się na chrześcijańskich zasadach wiary i moralności, osiągnął najwyższy poziom życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego, jaki kiedykolwiek był własnością zachodu Europy“. Tylko niesforny socjal-rewolucjonista emigracyjny, dawny działacz „Spartakusa“, Retzlaw zauważa w jednym z pamfletów, skierowanych przeciwko emigrantom z chrześcijańskiego centrum, że biskup Gallen ogłosił swój list pasterski naskutek prób konfliktów majątków kościelnych w Nadrenii przez partię. Uwagę jego natychmiast zdemontowano (Londyńska „Die Zeitung“ w kwietniu 1944).

Krocącymi w aureoli męczeństwa „bojownikom frontu wewnętrznego“ doręczano co dnia niemal listy do wieńca sławy. Najdrobniejsze wiadomości o procesach w kraju urastały tu do rozmiarów źniw po wielkich wewnętrznych zaburzeniach. Proces przeciwko kilku studentom monachijskim, którzy szeptem na uniwersytecie propagandę antywojenną w jesieni 1943, nieudany zamach stanu z 20 lipca 1944, będący, zdaniem Thomasa Mana, próbą wyskoczenia niemieckiego sztabu generalnego z pociągu, który lada moment ulegnie katastrofie — to okazje do wielkich akcji propagandowych emigracji niemieckiej. Trudno się temu dziwić, skoro nawet armia w oczach demokratycznych emigrantów nie jest winna temu, co się stało: „Niemiecki korpus oficerski pragnął posiadać silną armię z perspektywami szybkich awansów, pragnął odzyskać dawną czołową pozycję w państwie i uirzec znowu, jak mundur wojskowy staje się przedmiotem cześci każdego Niemca. Dlatego też aprobował wszystko, co robili Nazi reorganizując armie niemiecką. Ale korpus oficerski sprzeciwiał się angażowaniu tej niedoświadczonej młodej armii w wojenną awanturę, albowiem dla starych żołnierzy wojna nie była awanturą, ale zajęciem poważnym i odpowiedzialnym, jak nauka czy sztuka“ (Specker). I nie chyba nie jest równie poure w swej śmieśności jak cytowana przez tegoż autora i innych pisarzy emigracyjnych opowieść o starym żołnierzu Hindenburga, gen. von Fritschu, który ranny podczas oblężenia Warszawy w 1939 r., nie pozwolił się opatrzyć i umarł, widząc w zburzeniu Warszawy unicestwienie ducha starej armii.

Amok, który opętał Niemcy, nie dotknął przecież zdrowego rdzenia narodu, czego dowodem ma być zarówno kilkanaście milionów ludzi, którzy nie głosowali na Hitlera w marcu 1933, jak i emigracja — liczna i bojowa. Jeśli ktoś zarzuca narodowi niemieckiemu, że nie zrzucił sam tyrana, temu radzi emigracja zastanowić się nad szansami jakiegokolwiek rewolucji w czasach, kiedy narząd władzy są tak potężne i skomplikowane. Tym niemniej powołuje się tutaj emigracja na wszelkich możliwych świadków — zachowania się społeczeństwa w kraju podczas sukcesów niemieckich w pierwszej fazie wojny, nacechowane zrezygnowanym spokojem i powściągliwością, przemawia na rzecz narodu, któremu narzucono wojnę z góry. Ten naród nie może być potraktowany przez zwycięzców jak tłum zbrodniarzy, chyba, że wersalscy zwycięzcy niczego się w ciągu pokolenia nie nauczyli i pragną wiecznych niepokojów w Europie. Oddzielenie warstwy nazistowskich zbrodniarzy od dobrych, uczciwych, demokratycznych Niemców jest nieodzownym warunkiem pokoju światowego. „Durch Ueber - Versailles auch die letzten Spuren der Demokratie in deutschen Volk ausgeligt werden muessen“, albowiem (co za emigracją niemiecką podjęto szybko na zachodzie) rozpoczął dążyć do szukania dróg wyjścia z beznadziejnej sytuacji sposobami gwałtownymi.

NOWE NIEMCY W NOWEJ EUROPIE
Kiedy od analizy przeszłości przechodzi emigracja do rozważań nad przyszłością swej

ojczyzny, uderza ta sama łatwość operowania wielkimi formułami i wielkimi okresami czasu, jaką znajdowaliśmy w rozgromionych prokuratorów „nowej Europy“. Ekonomiczna, społeczna i kulturalna solidarność Europy to motyw wyjąwszy z tych rozważań na każdym kroku. Oczywiście to, że chodzi tu o Europę zachodnią, nie ulega ani dla piszących i rozprawiających, ani dla słuchaczy, żadnej wątpliwości. W tej nowej, pozwól los, federacyjnej Europie, będącej wstępem do federacji państw, narodowych w Wersalu. Ten stan rozczłonkowania Europy można jeszcze pogorszyć, dzieląc Niemcy na części. Jest to najlepszy sposób na stworzenie ogniska zapalnego, które łatwo zainfekuje w najbliższej przyszłości sąsiednie organizmy państwowe.

Tak wygląda tok rozumowania całego emigracyjnego wachlarza dr. Brauera, dr. Vogla, czy przywódcy socjal-demokratycznej emigracji w USA — Staempfera i działaczy niemieckich związków zawodowych na emigracji. „Niema i być nie może nowego i lepszego świata“ — wołał na jakiejś akademii emigracyjnej w Londynie dr. Artz z centrum. Niema i być nie może — powtarza za nim cała emigracja — pokoju w Europie, jeśli w jej centrum żyć i pracować będzie kilkadziesiąt milionów ludzi, wydziedziczonych i przesławianych za grzechy bandy hitlerowskich morderców.

Powtórzenie błędów Wersalu to klęska dla całej Europy, błędów czytelnik w rozumieniu emigracji. „Es gibt kein zureuek zu Wienmar, aber es gibt kein zureuek zu Versailles. Ausgangspunkt aller deutschen Reformen sollte die Einstellung sein, dass Deutschland in seinen verblendeten Grenzen eine staatliche Einheit ist — píše Arno Uhlmann z SPD w broszurze „Vorstellungen ueber die soziale Demokratie in Deutschland nach dem Sturz der Hitler-Diktatur“ Londyn 1943, powołując się dalej — co bardzo dziwi u socjalistów — na Freiherra von Stein, z którego cytaty czytaliśmy często w historiografii hitlerowskiej.

Rozłam w londyńskim Komitecie „Freies Deutschland“ w lipcu 1944, któremu towarzyszyły potworne awantury w łonie emigracji, był wynikiem zgody prezydium komitetu o większości komunistycznej na zmiany weimarskich granic Niemiec. W kampanii za utrzymaniem dawnego stanu posiadania wzięły udział wszystkie poza komunistami grupy emigracyjne. W wielkim artykule w nowojorskim socjal - demokratycznym „Neues Volkszeitung“ dr. Staempfer, redaktor berlińskiej „Vorwaerts“ przed przewrotem oświadczył wprost: „Strzały, skierowane do przyszłych przedstawicieli republiki niemieckiej padną z rąk wysiedleńców ze wschodu. Owoce tak skonstruowanego pokoju dojrzą po wielu latach w postaci nowej wojny“. Równocześnie emigranci centrowi rozpoczęli atak przeciw granicom polsko-niemieckim po Wersalu. Specker wielokrotnie już cytowany, oświadczył w książce wydanej w Londynie przed rokiem, że „korytarz był zawsze raną w ciele Niemiec, dr. Weber publikuje w swej pracy mapę z granicami cesarskich Niemiec i proponuje Polsce (w roku 1945) Kłajpedę za Gdańsk i Pomorze. Te same sugestie znajdują się w książce Austriaka Paula Hagena — „Germany after Hitler“ - New York 1944, cytowanej szeroko w USA i w odpowiedziach socjalistów i demokratów niemieckich w Szwecji na ankietę pisma „Sozialistische Mitteilungen“ Stockholm 1944.

Aby niczego nie zbrakło towarzyszy temu także akcja rehabilitacyjna Prus i pojęcia „Preussentum“. Według zgodnych opinii emigrantów Prusy były podparciem republiki weimarskiej i jest błędem czynienie z Niemiec wschodnich ostoju reakcji i militarizmu. Dowodem tego miał być skład rządu Prus, w którym aż do przewrotu większość miała lewica i centrum i opór stawiany przez Prusy hitlerowskie przybyszom z południa i zachodu Niemiec. Berlin zawsze ponoc był czerwony, a mieszkańcy Brandeburgii, Pomorza i Prus Wschodnich — zwolennikami demokracji.

Z faktem okupacji Niemiec przez zwycięskie mocarstwa pogodziła się emigracja bardzo późno. W jesieni 1944 r., nikt z niej nie wierzył jeszcze na serio w możliwość takiego obrotu sprawy. Czyż nie największą karą i upokorzeniem dla narodu niemieckiego będzie fakt, że wolność przyniosła mu obce armie? — pytano z patosem, wysuwając następne argumenty, że nawet najmniejsza okupacja nie potrafi uniknąć zadrażnień i obejść się bez wzbudzania uczucia niewoli w uczciwych, demokratycznie myślących Niemcach.

Kiedy ujawniono w Jałcie warunki „unkonditional surrender“, emigracja wysunęła szereg zastrzeżeń, związanych przede wszystkim z zagadnieniem wychowania młodego pokolenia dla demokracji. Idea wychowania narodu zewnątrz przez okupantów jest tragicznym nieporozumieniem (Weber). Jakże mogą być owoce tego wychowania, skoro młody niemiecki chłopak będzie widział swoje siostry i koleżanki w towarzystwie oficerów i żołnierzy armii okupacyjnych. Zresztą młode pokolenie, ujrzawszy realizację idei nazistowskich odwróciło się częściowo od nich. Dają temu wyraz nie tylko cytowani wciąż autorzy, ale i taka osobistość, jak czło-

nek niemieckiej komórki „German Education Research“ w Londynie, pracujący w kontakcie z słynnym socjologiem emigracyjnym Karlem Mannheimem, dr. Milch, który oświadczył na jednym z wykładów w „University of United Nations“ w Londynie w marcu 1945: „Powszechna opinia, że najgorsze w Niemczech jest najmłodsze pokolenie jest najzupełniej fałszywa. Młodzież niemiecka była i jest przeciwko Hitlerowi i narodowemu socjalizmowi. Z punktu widzenia wychowawczego (Umerziehung) okupacja powinna trwać jak najkrócej“. Wychowanie to należy powierzyć samym Niemcom, zwłaszcza wyprobowanym emigracyjnym demokratom.

Także i stan gospodarstwa niemieckiego nie pozwala na długotrwałą okupację, która może doprowadzić Niemcy do ruiny ekonomicznej. Procesy industrializacji świata są nie do cofnięcia (Weber). Mowa być może tylko o przebudowie przemysłu niemieckiego, ale nie o jego nawet częściowej likwidacji. Zniszczenia, wywołane działaniami wojennymi na terenie Niemiec są — zdaniem ekonomistów emigracyjnych, którzy zresztą nie mogli ich widzieć — tak wielkie, że w imię dobrobytu całej Europy trzeba będzie wspólnymi siłami zwyciężonych i zwycięzców zabrać się jak najszybciej do odbudowy niemieckiej pustyni. (Specker, Hiller, także Doberer — „United States of Germany“). Natura nie znośi próżni oto hasło wyciągnięte natychmiast po zakończeniu wojny przez emigrację niemiecką na użytek zwycięzców.

SPRAWIEDLIWI Z SOBOMY

W tym chórze emigracyjnym słabo słychać poszczególne głosy protestu. Do nich należy oświadczenie Emila Ludwiga przed komisją spraw zagranicznych kongresu amerykańskiego w roku 1943. Ludwig, dzisiaj obywatel amerykański, powiedział prosto i jasno: „Wersal był miłą niespodzianką dla pokonanych Niemiec i w żadnym wypadku nie stał się źródłem i przyczyną narodowego socjalizmu. Nie w Wersalu, ale w Berlinie zgubiono republikę weimarską. Została ona zniszczona nie przez przemoc dyktatora, ale przez charakter i psychikę narodu niemieckiego, który nie potrafi realizować demokracji. Jeśli Niemcy spostrzegą, że narody zjednoczone nie mają jasnego planu postępowania wobec nich, bądź jeśli ujrzą jakieś możliwości wykorzystania kłękających między zwycięzcami konfliktów, to zrodzi się z tego w nich nadzieja ponownego złamania pewnego dnia frontu narodów zjednoczonych i jeszcze jednej próby zrealizowania idei germanizmu“.

Do tych głosów protestu należą wszystkie wypowiedzi wojenne Thomasa Manna, który

ostatnio w amerykańskim miesięczniku „Yale Review“ oświadczył: „Historia uczy nas jednego — że niema dwóch różnych Niemiec i nikt, kto urodził się Niemcem nie ma prawa nie przyjąć na siebie współodpowiedzialności za potworne zbrodnie narodu niemieckiego i nie ma prawa rzec: jestem niewinnym, uczciwym, sprawiedliwym Niemcem“.

Jeszcze jednym głosem protestu jest działalność emigracyjna Wilhelma Loeba, przewodniczącego niewielkiej grupy „Fight for Freedom“, z którym za kontakty z lordem Vansitttem, zerwała cała emigracja i który nie odgrywa dziś żadnej roli na Zachodzie. „Zdrajcami sprawy narodowej“ są też w oczach emigracji nieliczni komuniści niemieccy w Anglii i USA, którzy nie wyrażają sprzeciwu przeciwko tezie o zbiorowej odpowiedzialności za hitlerizm i zmianom granicznym. Ale skoro weźmie się pod uwagę, że Mann i Ludwig są obywatelami amerykańskimi, Loeb stara się o obywatelstwo brytyjskie, a komuniści na emigracji zachodniej byli nieliczni, obraz emigracji niemieckiej bardzo wygląda niepokojąco dla przyszłości Europy.

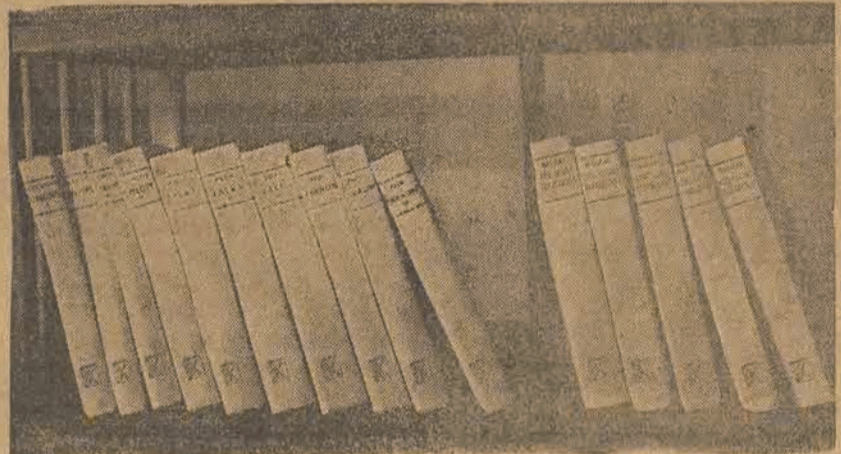
„Das andere Deutschland“ jest jednym z najmniejbezpiecznych mitów, w jakie wierzą narody, które nie przeżyły na własnej skórze „czasów pogardy“. Zachowanie się emigracji antynazistowskiej wykazuje przecież dowodnie, jak w istocie swej jednolite są Niemcy i że w rzeczywistości to wszystko, z czego wyrósł narodowy socjalizm, znajduje się in statu nascendi, w ludziach, którzy go odrzucili i którzy w imię „innych Niemiec“ walczyli o „inne Niemcy“. Odrzucili bowiem i odrzucają w istocie tylko środki, a nie cele i należą wciąż jeszcze, choć czasami nie przyznają się do tego sami przed sobą, do „germanische Schicksalsgemeinschaft“.

Teraz wrócić do „uciemnionej ojczyzny“, aby unikając wstrząsów i gwałtownych zmian, odbudować niemiecką demokrację, jeśli się im to nie uda, znów kiedyś powiedzą, że nie oni są temu winni — ostrzegali bowiem zwycięzców przed powtarzaniem starych — w ich mniemaniu — błędów, alarmowali, tłumaczyli. Sumienie mają w porządku — zarówno wobec siebie, jak i wobec narodu. A nie chcą ani rewolucji, ani tetry, bo obie zniszczyłyby ich — socjalistów, liberałów i chrześcijańskich demokratów niemiecką „Schicksalsgemeinschaft“.

Głosy innych Niemiec, a jednak tych samych, bliższe są sercu i interesom niektórych zwycięzców, niż głosy nielicznych, sprawiedliwych z Sodomy. A więc, eheu Europa, jeśli nawet dwadzieścia sześć milionów trupów nie potrafi cię niczego nauczyć.

Mieczysław Wioncza

ODBUDOWUJEMY BIBLIOTEKI



PRUS * REYMONT * BALZAC

W dniu Święta Oświaty dla popularyzacji taniej książki do dnia 15-go maja b. roku

WIELKA AKCJA SUBSKRYPCYJNA
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ «KSIĄŻKA»

Z premiami dla czytelników «KUŹNICY»

Wypełnić i przesłać

DO SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ «KSIĄŻKA»
Łódź — Piotrkowska 86

Niniejszym subskrybuję i wpłacam równocześnie na konto PKO VII-995 złotych cena w subskrypcji

. . . PRUS Lalka	3 tomy	zł. 250.—
. . . PRUS Faraon	3 „	„ 250.—
. . . REYMONT Chłopi	4 „	„ 340.—
. . . BALZAC Stracone złudzenia	5 „	„ 560.—

Łącznie z kosztami przesyłki 15 tomów, około 5000 stron zł. 1400.—

dokładny adres

podpis

Każdą książkę można zamawiać oddzielnie. Wysyłka w ciągu maja, czerwca i lipca br. W sprzedaży księgarskiej książki powyższe po cenach znacznie wyższych ukazały się w sierpniu 1946 r.

Czytelnicy „Kuznicy“, których numer karty subskrypcyjnej będzie podzielony przez 20 otrzymują cenne premie książkowe.

Lista premiowanych ogłoszona zostanie wkrótce po zamknięciu subskrypcji w numerach pisma.

I.

Gdy nazajutrz po przybyciu do Warszawy Abel wyszedł na miasto, wciąż jeszcze miał na sobie — jakkolwiek było już kilka miesięcy po wojnie — mundur podporucznika do niedawna jeńca. Był to mężczyzna wysoki, suchy, o czarnych oczach, o głowie jakby zbyt okrągłej, o twarzy, w której ponurość mieniła się ze smutkiem. Przez swój smutek twarz ta aż zastanawiała.

Na Nowym Świecie ujrzał ten sam rodzaj zniszczenia co wczoraj. Przybywał z Łodzi. Każdy wie jak niewielką przestrzeń dzieli Łódź od Warszawy. Miasta te w tej chwili związane są bardziej niż kiedykolwiek. Tysiące ludzi w tysiącach sprawach jeździ stale, ruch pomiędzy oboma miastami jest liczny i stały. Można by więc mniemać, że mieszkańiec Łodzi, z samego słyszenia, nie opuszczając swego miasta, powinien umieć sobie wyobrazić jak wygląda Warszawa. Nie. Miasta tak zniszczonego nie można sobie wyobrazić.

Z chwilą wjazdu do Warszawy i wyłonienia się pierwszych pustych i wypalonych domów, Abel zamknął. Wzbierało w nim przerażenie. Dla tego, na co patrzył, trudno było o nazwę, o słowo. Po nietkniętej Łodzi było w tym widoku coś, co nie mieściło się w głowie. Raz po raz powiadał sobie: za tym rogłem się skończy. Nie skończyło się ani za tym, ani za następnym, zniszczeniu w ogóle końca nie było. W tych ruinach — dom za domem, ulica za ulicą, dzielnica za dzielnicą — tkwił kosmiczny gniew, gniew Boga krzyczący ze skał górskich. Z pustych klatek, z pustych okien, z ziemi wewnątrz nich napuchnięt, wiało grozą i brzydota, nudną nudą trupów.

Przez kilka godzin przyglądał się wczoraj temu co pozostało z miasta. Podobny pejzaż pamiętał z dzieciństwa po pierwszej wojnie. W spokojnie wypalonych domach odnajdywał dawno znaną twarz historii. Nowością, niewiarygodną nowością była tutaj ilość, to, że wszystkie domy były wypalone.

Na Nowym Świecie stały domy wypalone, ale stały. Czerwień niektórych wnętrza ludzi czerwienią obliczonych garnków. Tam, gdzie brakło domu, dwóch, trzech, można je było sobie przypomnieć. Mieszkaniec tych stron powróciwszy, zwrócił się w sobie mógł powiedzieć: To tu...

Lecz gdy Abel minął Plac Krasieński i dostał się na teren dawnej dzielnicy żydowskiej, spoglądał w lewo i w prawo, przed i poza siebie, i mimo oswojenia z innymi dzielnicami „tego najbardziej zniszczonego w świecie miasta” nie chciał wierzyć własnym oczom. Oczekując zniszczenia, oczekiwał go na miarę innych dzielnic, oczekiwał śladów pozwalających odtworzyć co ongi tu stało. Nie było śladów. Nie było domów, ani mniej ani więcej wypalonych, mniej lub więcej zniszczonych, żadnych nie było. Żadnych murów, żadnych kominów, mających tak twarde życie, żadnego rysunku ulic, żadnych chodników, żadnych linii tramwajowych, dróg, placów, na żadnej kondygnacji nie zachowało się nic z tego, na czym oko mogłoby spocząć. Nie było żadnego z elementów wzniesionych zorganizowaną ręką ludzką, pozwalających ustalić, gdzie się człowiek znajduje. Na przestrzeni, którą z trudem oko mogło ogarnąć, a która mieściła ongi największe skupienie Żydów w Europie, nie było nic prócz gruzu i kawałków rozbitej cegły, pokrytych tu i ówdzie blachami żółtymi i szarymi jak niewypalone wołowe skóry. Tu miasto było wymazane, zdjęte z powierzchni jak namiot z łąki. Tam były zwłoki, tu nawet zwłok nie było. W tym miejscu miasto było zmiażdżone, starte, kamień na kamieniu nie pozostał. Gdzie stało ongi miasto leżał teraz gruz. I choć więcej zmarłych niż pod stoma cementarzem spoczywało pod tymi polami gruzu, nie było tu nic z cementarza. Była niemożliwa starość miasta, którego nietwały, niedokładny i zwodny kształt majaczył w pamięci patrzącego. W obliczu tej niemości Abel już nie czuł potrzeby odnalezienia domu, w którym ongi mieszkał, potrzeby równie niezrozumiałej jak głębokiej. To miasto nim zostało zrównane w śmierci, było zrównane w cierpieniu. Plakać tu nie należało nad nikim oddzielnie. Usiadł na stosie cegieł. Wokoło panowała martwa cisza, a jedynym głosem życia był szmer kanałów płynących pod ziemią. Gdzieś daleko pomiędzy pagórami gruzu przeszło gęsiego kilka osób.

Nad miastem obróconym w nicość wiałoby niebo pochmurne i chłodne.

Jak przez sen usłyszał kroki. Gdy niechętnie podniósł głowę, zobaczył idącą w jego kierunku kobietę. Przeważnie ustępował w nim stwierdzenie, któremu nie dowierzał. Stwierdzał i wątpli, wątpli i stwierdzał na przemian. Jednakże nie ruszał się z miejsca. Powstał dopiero gdy zatrzymała się przed nim, podobnie jak on wzburzona. I choć zdawało mu się, iż rzucił się ku niej z płaczem, stał w miejscu milcząc. Tylko źrenice rozszerzały mu się i zwężały. Głębokie przejęcia wewnątrz nie poruszają nim w ten sposób.

Ona pierwsza krzyknęła i tak jak dawniej b w jego imieniu zupełnie ginęła: — Abel!

Głos zamrzał w nim jak podczas ciężkiego nalotu. Dopiero po pewnym czasie mógł powiedzieć: — Amelio...

II.

Historia okresu blitz-krągów, historia ostatnich czasów, ta historia ultra-nowoczesna na wszystkich polach bitew, na lądzie, na wodzie i w powietrzu, była całkiem inna w obozach. Z dnia na dzień człowiek zmieniając miejsce pobytu, zmieniał jak gdyby wiek, w którym żył. W pewnych miastach wystarczyło zmienić ulicę, by cofnąć się o kilka wieków w historii. Jeńcy w obozach, z ludzi po nowoczesnemu nieustannie zajętych, naraz stali się ludźmi, których prześladował nadmiar wolnego czasu. Dopiero teraz mogli pomyśleć nad wieloma sprawami, na co przed tem nigdy nie znajdowali okazji.

Dopiero w obozie — w schludnym, niedużym miasteczku niemieckim zamienionym na oflag 3 E, mieszczącym około sześciu tysięcy ludzi — zamknięty Abel stał się odbiorcą tych wielkich zalet Amelii, które na wolności dochodziły doń rikosem, poprzez uznanie drugich; sam nie dość uwagi na nie zwracał. Poznał Amelię w roku 1937, zaczynał się wtedy usamodzielniać jako architekt. Była to zamysłona, chuda, całkiem młoda dziewczyna. Piękniła w oczach i pewnego dnia Abel stwierdził, że gatunek jej urody należy do wyjątkowych. Była ciemna, duża i harmonijna, o twarzy pozbawionej ostrości, jak twarze madonn, których kobiecość jest zarazem jak gdyby jej zaprzeczeniem, do tego stopnia nie zabacza. Zamknięta w rytm łuków twarzy ta wibrowała światłem i barwą jak wnętrze kościoła. Przypadkowe tło zetknięte z profilem Amelii — tynk ściany, skrawek nieba — stał się arabską cudną samą w sobie jak sztuka abstrakcjonistów. Patrząc na Amelię ludzie nie mielili jak na widok gór zalaných księżycem, jak na widok pożaru. Patrzącym Amelia przypominała kogoś. Nie przypominała, lecz wyzwała starą jak świat tęsknotę za pięknem — tkwiącą w każdym z nas.

Półki byli razem — dwa lata, w tym rok jako małżeństwo — Abel tylko nieznacznie reagował na tę urodę. Jeszcze jej nie potrzebował. Dom rodziców Amelii — ojciec był lekarzem płucnym — należał do gatunku ciepłych. W pierwszym okresie, więcej niż w pannie, Abel zakochany był w rodzinie, gdyż sam pochodził z domu, który nie znał uśmiechu, ojciec nienawidził matki i latami się do niej nie odzywał. Serce Abela zdobyła Amelia tym przede wszystkim, że gorąco przejmowała się humorami i niehumorami swej matki. To że matka jadła z apetytem, że poszła do fryzjera — z czego można by wnosić, że wstąpiła jej zainteresowanie do życia lub przeciwnie, że nie chce widzieć nikogo, stanowiło przeżyte dla Amelii. I to właśnie w pierwszym okresie najbardziej wzruszała Abela.

Zakochany w rodzinie znajdował w wybranej obiektywnie wszystko to, co uważał za godną miłości. Ponieważ chciał kochać, gnawał sobie i Amelii, że kocha. Więc mówił wiele słów, które niecałkowicie znajdowały pokrycie. Mówił je z świadomością luzu, z leciutką rezerwą, która przejmowała go niechęcią do siebie, gdyż nie należał do istot nieszlachetnych. Chciał kochać, lecz wentyl w duszy długo się nie domykał.

Jednakowoż lata niewoli całkowicie uszczelnily wentyl, o którym mowa. Obawa, iż pewnego dnia Amelia odkryje jego kłamstwo okazała się płonna. W obozie rozkochał się na dobre w swej żonie. Odkrywał ją jako kobietę i jako człowieka i

ADOLF RUDNICKI

Czysty

wiele, z tego, nad czym dawniej bólał, dopiero teraz stało mu się drogie. To że była nieczytelna i niegłośna w swych uczuciach, w przeciwieństwie do niego, że umiała się zdobyć na charakter zawsze wtedy, gdy jemu go brakło, że umiała gładnie znosić zarzuty najniesprawliwsze i nie tłumaczyć się z nich, póki trwała w nim złość — sztuka dana niewielu — że umiała być doświadczeńsza, mądrzejsza, starsza, choć o tyle była młodsza, że umiała tak się do niego ustosunkować jak do chorego — w miłości jedna strona zawsze powinna być na prawach chorego — oraz wiele, wiele innych pięknych zamulonych w nadmiarze codzienności postaw, cech i szczegółów dopiero teraz zaczęły grać, budząc w nim rozczulenie i zachwyty. Wszystko co miało związek z Amelią nabrało własnego smaku: smaku niektórych poranków, smaku słodczy i bólu. Serce przy tym trochę go bolało, jak zawsze wtedy, gdy się kocha.

Szczególnie drogi stał mu się ostatni okres ich wspólnicy. W roku 1939 społeczeństwo nie bało się wojny, jak dźwięk nie boi się pistoletu. Strach przed wojną czytał Abel w oczach Amelii. Nie mogła słuchać rozmów na ten temat, wstawała od stołu. Po mowie Becka o korytarzu rozplakała się. Pewnego dnia powróciwszy do domu Abel powtórzył słowa młodszej osoby, że Polacy to nie Czesi i że strzelać będą. Gdy się nazajutrz obudził o świcie, w pokoju, w którym panowała mordercza cisza, Amelia nie spała. Przyglądała mu się uważnie. Odtąd ielekroć budził się, ielekroć spotykał jej wzrok. Nie odpowiadała, gdy próbował ją pocieszać, że Niemcy nie mają co jeść, że mają tanki w blachy i że Anglia nie dopuści. Abel odnosił potem wrażenie, że przeczuwała zbliżający się katalizm. Nie. Przechowywała co prawda trudny rok, gdyż ten pierwszy rok jej małżeństwa był zarazem pierwszym rokiem jej życia jako kobiety, ale kochała męża i miała dom. W ostatnie noce brała go jak hostię z oczami tak czystymi, że nie mógł w nie patrzeć. Gdy odprowadzała go na dworzec przez miasto tłumne jak przed świętami, Abel stwierdził, że jej głos nabrał nieznanego mu dotąd brzmienia, płynął jakby z nieznaných źródeł. Wzmacniała słowa, niejako je podpierała, śnać w obawie, że ich nie wypowie. Gdy z okna odjeżdżającego pociągu spojrział po raz ostatni na tę dużą, cudną osobę, skuloną jak gdyby z niej kości wyjęto, odczuł po raz pierwszy strach przed wojną. I pojął starą prawdę, iż ból najdotkliwszy dosięga nas przez te przede wszystkim osoby, które kochamy.

Była nieczytelna w swych uczuciach, była „nieprzemakalna” — co stałe podnosiło krzywą jego uczuć — lecz w tym ostatnim okresie mógł stwierdzić, iż ongi, który podkładał, przyjął się. Wtedy wyrzucił sobie, że otrzymuje dużo więcej, niż na to zasługuje.

Jak większość jeńców żył listami, tymi dobrze w Europie znanymi blankietami — Kriegesgefangenenpost — z których jedna połowa przeznaczona była na odpowiedź. Amelia zadziwiła go. Pomimo wszystko nie spodziewał się takiego żaru. Pamiętał ją harmonijną i wątpli o takich zasobach uczuciowości, których wyraz odbierał. Wątpli, gdyż należał do gatunku wątpliwośc. Wątpli również dlatego, iż jak większość mężczyzn sądził, że wielka uroda sydl się sama sobą. Lecz uroda jest tylko tym, czym wygodny dla człowieka nawykły do wygod: skórą, jedynie skórą.

Bywało, że odpowiedzi Amelii opóźniały się. Cierpienie ścinało go całkowicie jak zawsze ludzi co mocno czują. Gdy potem nadchodziły listy, już ich nawet nie miał potrzeby czytać. Brak wiadomości od Amelii odrywał go od ludzi, skłaniał ku samotności. Każdy list, zwłaszcza po przerwie, wywoływał w nim uczucia przeciwne wymienionym.

Pogarda dla ludzi musiała Niemcom uczynić obojętnym wszystko, co jeńcy pisali o sobie i co do jeńców pisano. Cenzura prawie że nie kresliła listów i w obozie wiedziano co się dzieje w kraju. W sierpniu 1942 roku ukazał się w podziemnym piśmie obozowym artykuł o mordach w dzielnicy żydowskiej w Warszawie. Abel przestał otrzymywać listy.

Była letnia noc bolesna w swej piękności. W dwóch małych pokoiach złączonych ze sobą, dziwięciu ludzi leżało na siennikach, lecz żaden nie spał. Abel siedział przy oknie. Od czasu do czasu któryś z leżących zrywał się i podchodził do niego ze słowami pociechy. Od dwóch dni nikt nie słyszał jego głosu. Nikt nie widział aby cokolwiek jadł. Tkwiał przy oknie w dzień i w nocy wsłuchany w niesłykany krzyk mordowanego miasta. Ponad jego głową jak nad odbiornikiem radiowym płońął głos dalekiego cierpienia. Nie mógł uciszyć w sobie czujności i uwagi, bez czego nie da się żyć. Jak podczas najcięższych ataków zazdrości nie miał odwagi spojrzeć na fotografię Amelii, tyle szło od niej bólu. Zbrodnia na Amelii była dlań sumą zbrodni na czterystu tysiącach istnień. W tych dniach szczeriał. Przegrzył się — mówili współtowarzysze.

Otrzymał dwa listy, które jako nadawcę miały osobę o nieznanym nazwisku: Anne Zych. Było to nowe nazwisko Amelii. Ocalała. Zamieszkała przy ulicy Kantowskiej na Żoliborzu. Czytając nowy ten adres Abel miał wrażenie, iż zmieniła kraj. Po tych dwóch listach nastąpiła przerwa i Abel wyrzucił sobie, że odpowiadając był równie nieostrożny jak Amelia. Wkrótce znów się odezwała. Pisała: przesłałam coś nie coś w ostatnich czasach. — W tym miejscu czytającemu zabrakło tchu. Wszystko było przejrzyste, gdyż było powszechne.

Potem nadszedł okres listów o mniejszej niż dawniej ilości wywnężeń i miłych przymiotników. W tym natężeniu cierpień jakie — zdawałoby się — znać czenie mogły mieć przymiotniki? Jednakowoż ich brak, brak niektórych czasowników, ich mniejsza niż dawniej ilość, pewna zmiana słownictwa pograżały Abela w głębokim bólu już innego rodzaju. Sam był niczym, podwójnie niczym, mieszkał wraz z innymi oficerami Żydami w oddzielnym bloku 14 E, który nazywano Juden-Block. Ich ewidencja w kancelarii prowadzona była oddzielnie, codziennie spodzielali się końca. Wszyscy w obozie byli przekonani, że los bloku 14 E będzie odmienny od losu pozostałych. Ona tam ukrywając się po tak zwanej stronie aryjskiej, chodziła pod wyrokiem śmierci, którego każdy mógł być wykonawcą, a jednak... A jednak w swych myślach, pragnieniach i żądaniach nie przestawał być przede wszystkim mężczyzną, a ona kobietą.

Napisał, iż nic jej nie dając, nie ma też prawa niczego wymagać. I pozostawia jej wolną we wszystkim rękę. Na to otrzymał odpowiedź tak żarliwą, że o innej nie mógł marzyć. Lecz potem nagle zamilkła. Gdy się znów odezwała, wbrew oczekiwaniom, list nie posiadał wymienionego nazwiska ani adresu, zatem nie było przeszkód zewnętrznych. Natomiast pisany był trzema rodzajami ółwka. Odtąd nie pisała już jednym tchem jak na początku, przeciwnie, widać było, że nie lubi tych listów, że je z trudem wymusza na sobie.

Katolicy, którzy posiadają znajomość człowieka nie od dziś zdobyłą, twierdzą, że właściwym terenem zmagañ i przełomów jest dusza ludzka. Tyle razy zamarała go myśl, iż odejdzie od niego, zginie albo odejdzie — Inaczej być nie może — że gdy na podstawie coraz rzadziej nadchodzących listów oraz sugerujących i nastawiających myśl rozmów nabrał prawie pewnością że już, jak to określał sam przed sobą, zniósł to względnie spokojnie. Siły ludzkie są ograniczone, przeżycia jak gorączka mają swą górną granicę. Tragedie na tle zdrad były w obozie chlebem powszednim. Kobiety na wolności zawiązywały nowe stosunki, rodziły innym mężczyznom, płynęły na urozmaiconej fali żywego życia. Po skrajnej rozpacz jeńców dotkniętych zdradą w pierwszym okresie, następnym cierpieli mniej, gdyż nacierpieli się już we współczuciu i obawie. Takie było prawo powszechne i Abel podlegał mu na równi z innymi.

W październiku 1944 roku przybył oficerowie z powstania warszawskiego. Większość z nich nosiła się po cywilnemu, mieli jedynie białe-czerwone opaski na ramieniu. Rozglądali się z zaciekawieniem po

nurt

Opowiadanie

obozie i zaczęli od pytań, czy ich mają zamiar przeszkalać i czy za sześć tygodni nastąpi wspólne niemiecko-angielskie uderzenie na Rosję. Ci, którzy zachęcali ich do niewolli zapewniali, że są to sprawy postanowione. Powstańcy w przeciwieństwie do starych jeńców mieli zainteresowania wyłącznie polityczne. Rozrzucano ich po wszystkich blokach.

Wraz z powstańcami przybył dawny kolega uniwersytecki Abela, Tadeusz Mazurek. Wiedział dużo o Amelii i uważał, że nie należy ludzi zostawiać ich złudzeniom. Tak, był ktoś inny w życiu Amelii. Lecz nie to było niespodzianką dla Abela. Prawdziwą niespodzianką był on sam dla siebie. Przed przyjsciem powstańców przeżywał okres apatii. Uważał, iż swój kapitał uczuciowy całkowicie wyczerpał, a oto się przed nim na nowo otwarło piekło. Był zdumiony siłą cierpień własnych. Nie spodziewał się już takich sił w sobie. Wydawało mu się, iż jest pogodzony. Mówił sobie to samo co inni: ślano się, co się stać musiało. Okazało się, iż nie znał siebie. Zrywał się wśród nocy z przerażeniem i kłeską w duszy. Dusił się, jak gdyby powietrza brakło w pokoju. Sytuacja własna wydawała mu się gorzka, niemożliwie gorzka.

Ponieważ nie miał już Amelii dla siebie, można by mniemać, iż zamarta w nim zdolność do radości. Nie. Był nawet zdolny do takiej obłądanej radości, która da się porównać tylko z radością psa szalejącego na podwórku w pierwszy po zimie ciepły dzień. Ósmego maja 1945 r. poznaliśmy tę radość. Również Abel poznał ją wówczas, gdy pod obóz 3E podchodziły wojska rosyjskie.

III.

Powtórzyła z widocznym wzruszeniem, z dobrymi ogniami w oczach jego imię. Otrzymała jego list i kartkę, i ogromnie się nimi ucieszyła. Dziesięć razy zabierała się odpisać, ale sama nie potrafiła powiedzieć dlaczego nie odpisała. Więcej, wybierała się do niego do Łodzi, ale zawsze coś stało na przeszkodzie. Nie rozumie jednak, że on będąc w Warszawie nie przyszedł do niej i zdał się na tak niezwykły przypadek jak to spotkanie. „Trzeba było po prostu przyjść”.

Spoglądał na nią poddawany radosnym wstrząsom, w których wyzwalaly się sily latami tłumione, tonąc w ich łaskawych, w ich błogosławionych, niewidzialnych oparach. Szedł obok niej wyzbyty potrzeby mówienia, wpływającej dopiero wtedy, gdy wzruszenie słynie. Ból mówiony jest już bólem utkwawionym. W swym górnym nasłentiu ból bywa krzykiem lub milczeniem. Przysłuchiwał się jej bez pragnień. Była przy nim.

Gdy odzyskał tak zwane przez malarzy świadome widzenie przez chwilę, jak na podwójnie eksponowanym negatywie, widział dwie twarze: ta, którą pamiętał, mieściła się w tej na którą patrzył. Stwierdził pewne trudno uchwytnie zmiany: „Jest w niej więcej sily niż dawniej”. W ciągu ostatnich miesięcy nieraz mówił sobie: Postępuję jak najgorzej, zabijam siebie pozwalając rosnać marzeniom Amelii. Nic tak nie leczy, jak konfrontacja z człowiekiem, który żyjąc ujawnia swe wady, popępnia błędy od których nasz głód, nasza tęsknota, nasza potrzeba piękna go strzeżę. Uleczyć się mogą jedynie przez spotkanie. Dozwól życiu zabić ideę. Nic tak nie rozczarowuje człowieka samotnego, jak żywe życie, które znajduje z pewnością zbyt ostrym, gdyż od niego odwykl. Jednakże pierwsze spojrzenie nie przyniosło Ablowi rozczarowania, jeśli chodzi o urodę. Przeciwnie, jej bogactwo oszłomiło go. Była jak dawniej harmonijna, wyraźna, duża. Jej skóra tchnęła ciepłem, sytością, spokojem prosiła się o dotknięcie jak rzeźba, jak goły brzusek dziecka. Po spleńtu narodu nie widziało się już takich kobiet. Abel nie mógł marzyć o podobnej.

— W pierwszym okresie najbardziej nas frapowało, co opowiadał ludziom, którzy wojnę spędzili poza krajem, a którzy po wojnie przecież na pewno powrócą — aby nabrał pojęcia o naszym życiu, aby uwierzył, że było to dno niewyobrażalne dla oczu sprzed września. Wszyscy byli jedno-myślnego zdania, że trzeba im będzie pokazać dzieci, które Niemcy fotografowali i zamieszczali w swych pismach jako

„chów raju bolszewickiego”. Po polskiej stronie nie mieliśmy samych przyjaćiół. Mówiono tam, iż trzeba mury — poza którymi już wtedy tyfus i głód dziesiątkowały ludność słoczoną jak na dworcu — obsta-wić wieńcem karabinów maszynowych aby się na wypadek nagłego końca wojny nie rozbiegła. Lecz gdy dziecko w strzępach zarosłe brudem zapukało tam do jakiegoś domu, a nie znając lub ledwo znając język wołało stać nieme i pokorne, nie odchodziło ono bez kawałka chleba.

Abel pamiętał, że gdy do Bloku 14 E nadchodzą wiadomości o mordach, wszyscy reagowali mocno, lecz każdy na co innego. Jedni mówili: Starych ludzi wypychają do wagonu z niegaszonym wapnem. Inni: Ile tam cudnych dziewcząt ginie. Jak można zabijać młode dziewczęta? A jeszcze inni: Boże tam mordują małe dzieci... — Dzieciom nie można było wytłumaczyć, co to jest drzewo, rzeka, nie było ani rzeki ani drzew. Gdy w Feminie na Lesznie dano dziecięce przedstawienie, tłum płakał. Korczak powiedział do ojca: Jestem starym człowiekiem. Zdawało mi się że nie mam już pragnień. Mam. Chciałbym dożyć dnia otwarcia bram...

Wskazując morze gruzu rzekła:

— Oto otwarcie naszych bram.

Po tej ziemi najstraszliwszego ludzkiego cierpienia, uwieszony u ramienia Amelii Abel stapał jak po ogrodzie róż. Pił słodcy jej obecność odczyniającej grozę jej wspomnienie. Była prawie jego wzrostu. Miała na sobie płaszcz z czarnej wlny marszczącej się jak piasek. Talerzykowały kapelusze sphywał jej na oko. Kapelusze uznawała jedynie jako ornament, jak atytkę ponad domem. Wszystkie kapelusze, które pamiętał, spadały jej na lewe oko, kształt zmieniły tylko od góry. Wspomnienie tego szczegółu przewalało go nowym haustem słodczy i ustami przyłgnął kilkakrotnie do jej ramienia. Uśmiechała się. Jej oko tonęło w cieniu daszka, widział jedynie nos o leciutko podniesionych nozdrzach i drażniący kształt ust, które bardzo chciał ucałować. Długo nie mógł się na to zdobyć. Gdy je w końcu musnął, w chodzie, nie zmieniający pozycji, uśmiech Amelii doznał zgazienia. To go kołnęło. Szli pomiędzy polami rozbitych cegiel pokrytych tu i ówdzie rdzewiejącym żelazstwem. Drogą żelazne wyrastały z gruzów jak nowy gatunek drzew.

Trudno wykreślić linię żywej rozmowy, — jak broda niektórych osób tryska ona we wszystkie kierunki. Wkrótce Amelia znów zaczęła wspominać. Każde jej słowo skąpane było w cierpieniu. To ośmieliło Abela.

Grymas położył się na twarzy Amelii, gdy skończył. Dobrze ognie znikły. Abel przypomniał sobie przyjaćiół z którymi spotkał się po sześciu latach już po kwadransie nie miał o czym mówić.

— Miłość — powtórzyła za nim ze zdziwieniem i jakby niechęcią. Przez chwilę miał wrażenie iż wyrzucił jej krzywdę. — Miłość dawnio nie słyszane słowo. Zapomniane słowo. Fikcja...

Poczuł ten rodzaj zażenowania jakiemu podlega mężczyzna mówiący o swej namiętności kobiecie która mu odpowiada: To nic, przejdzie... Zwrócił uwagę na słowo: fikcja. Późną fikcją do końca... Uwolniony przez Armię Czerwoną powrócił wraz z falą do kraju. Były to piękne dni. Zatrzymał się w Łodzi. Łódź podobała mu się, wszystko mu się w tym okresie podobało. Wziął pierwszą z brzegu posiadę, rano wstawał do niej z przyjemnością. Odżył Ostatnie płomienie wojny były płomienia mi odrodzenia nie tylko dla niego. Ludzie szczerze pragnęli odmiany, odyła w nich tęsknota za jasnym, po ciemnościach okupacji. Lecz ten zryw nie potrwał długo, noc głęboko przebiła kości ludzkie. Po opadnięciu wielkich wód wydarzeń Abel poczuł, że zjada go tęsknota — tak jak w obozie. Wolność nie zamazywała jej. W głosie kraju wyczuwał Amelię jak kochanek w transmisi j radiowej z Filharmonii wyczuwa oddech obecnej tam ukochanej. Serce zamierało w nim gdy wychwytywał podobieństwo sukni, płaszcza, kapelusza, które pamiętał sprzed laty, a których prawdopodobnie już dawno nie było na świecie. Podobieństwo szczegółów twarzy, ruchów już go nie bawiło jak ongi, gdy je stwierdzał na jeńcach. Teraz budziły jedy-

nie ból. Szloch serca nie milknął w nim. Najgorsze było to że nie mógł nie myśleć, że nie mógł zapomnieć. Jego matka, mała krucha kobietka płakała, gdy się przy niej mówiło: jaśmin. Po sześciu latach wojny nie panował nad głosem, gdy przyszło mu powiedzieć słowo miłość. Bez drżenia nie mógł patrzeć na ludzi przytulonych do siebie. Nie mógł słuchać o czymś szczęściu. Czuł serce jak złe wszyty rękaw. Pijący ból nie ustawał. Tęsknota przeradzała się w nim w trwogę. Budził się wśród nocy wypatroszony ze wszystkiego prócz bólu. Był kłębem bólu, a ból ten przerażał go tym bardziej iż nie wiedział jak się przed nim bronić. Nie mogąc zapomnieć wspominał. Wspominając cierpiął. Ciało pamiętało, umysł pamiętał, a wszystko co było pamięcią, było bólem. Zapytywał sam siebie, co to znaczy i nie znajdował wytłumaczenia. Podlegał zachwytmowi, od którego nie mógł się uwolnić. Była ziemią dla nóg, była światłem dla oczu: racją jego życia. Żyła w nim jako główna, drapieżna, sama sobą karmiąca się rzeczywistość, ta — jak rzekła — fikcja...

— Przecież widzisz co pozostało z naszego życia... To nie rezultat półgodzinnego nalotu Royal Air Force. Nie położyliśmy się nocą, a nad ranem pozostali przy życiu nie ujrzeli tego co my teraz. Zgon miasta, zgon społeczeństwa, rozłożony był w czasie. Nim naród puszczono z dymem, zmieniono go w pierw w błoto i kał. Nie wierzę ci powiedział, że ludzie umierają. Nieprawda. Dwa razy w ciągu tej wojny Warszawa widziała iż ludzie nie umierają umierać. Ludzie stworzeni są po to by żyć, a nie po to by umierać. A co o umieraniu mówią to z nadmiaru, to z kwasów, to ze śmiercią ma tyle wspólnego co owa metaforyczna śmierć, której pełno u młodych poetów. Miliony szły w śmierć handlując i kochając, intrygując i nienawidząc, nie zubożone o żadne ziemskie uczucie. Szli w śmierć zanurzeni w życiu po uszy. Czując smak własnej krwi, jeszcze nie czuli oddechu Boga. Do samego końca w niepójty sposób tkwili w życiu. Ich śmierć była hymnem do życia. Jeszcze pod szubienicą wybierali lepsze jado...

Dawniej mówiła niechętnie i z trudem. Nie należała — dawniej — do istot zbyt rozmownych. Na początku Abel nazywał ją ślicznym milczącym dzieckiem, była wtedy niewiarygodnie milcząca. Jego imię mówiła po raz pierwszy w cztery miesiące po ślubie. Należała do tych kobiet, którym owojenie się z mężczyzną nie przychodziło łatwo. Teraz Abel stwierdził, że jej głos podobnie jak jej twarz nabrały sily.

— Śmierć zamieszkała wśród nas i zmieniła wiele w naszych pojęciach o życiu. Mężczyzna który odchodził, odchodził w ciemność, przeważnie nie wracał. Uczu nie można było rozbudowywać, trzeba je było od razu wypłacać. Kobiecy oddawały się mężczyznom tak jakby im oddawły sprawiedliwość, jakby naprawiały krzywdę. I wtedy okazało się że miłości jest sto rodzajów i każda jest dobra. I każda jest do przyjęcia.

Również Abel wiedział o stu rodzajach miłości. W pierwszych tygodniach swobody — najszczęśliwszych, najłaskawszych — wierzył iż znajdzie sobie miejsce w życiu — i bez Amelii. Z początku odnosił wrażenie że katastrofa nie jest tak wielka i że inteligencja, której trochę ocalało, zechce odbudować się na ziemi, która była co prawda jak jedna mogiła ale zdawało się, że będzie można zapomnieć. Z końcem wojny resztki trzymilionowego społeczeństwa ocalałe z potopu wyszły spod ziemi, z lasów, z obozów. Nieliczni wracali do swych dawnych siedzib. Zrazu przyjmowano ich jak ludzi podobnych cierpień winno się przyjmować. Gdzieniedziele szczery płacz był obustronny.

Jednakowoż współczucie spośród wszystkich uczuć ma najkruchsze nogi. Ci wobec których świat powinił się rumienić, wróciwszy po stokrotnym co dzień umieraniu w ciągu sześciu lat, padali na progu swych domów od kuli, która już nie była niemiecka. Na drogach czyhały na nich istoty które nazywały siebie wojskiem i wypróbowanym sposobem — mił Gerhickschuss — zgladzały ich. Układając się do snu, po wsiach, po małych i większych miastach byli niepewni jutra jak za Niemców. Te morderstwa rozpuściły ostatki trwo gi czające się w każdym człowieku, rozpatrującym sprawę tak trudną jak porzucenie kraju. Ale nie mieli rady, ich śmierć dawno przestała kogokolwiek wzruszać, więc zaczęli masowo uciekać.

Pewnego dnia Abel stwierdził, że żyje na pustyni. Nie było rodzin, nie było dzieci, nie było kobiet. Spotykał pojedynczych znajomych którzy zamykali swoje życie. Nikt nie zaczynał na nowo. Nie było widać żadnych prób odnowy, przeciwnie nie chcieli odnowy na tej ziemi. Chcieli jednego: uciec. I uciekali.

Abel myślał nieraz o tym, że gdyby żył w nastawionym na regenerację społeczeństwie, łatwiej przyszłoby mu zapomnieć. Ale wokół była pustynia. Był sam na pustyni, otoczony kikutami, które usychały. Nie było życia, gdyż nie było ludzi. Przy tym on sam nie był już młodzieńcem, dobiegał czterdziestki, a biada ludziom, którzy w czterdziestym roku muszą rozpocząć życie uczuciowe na nowo, muszą szukać. Osobie poznanej dzisiaj coś mógł dać z siebie? W porównaniu z tym co czuł dla Amelii, wszystko inne było chude, żadne. Olsniony blaskiem Amelii, wszystko inne widział ciemnym. Wszyscy nudzili go i sam dla drugich był nudny. Bo to już tak bywa że dla jednych jesteśmy jak morze a dla drugich jak marny wysychający strumyk. Miłość było sto rodzajów, wiedział o tym. Ale nie dla niego.

Amelia:

— Jedyną radością życia minionych lat (co już dzisiaj przestaje się rozumieć, choć minęło tak niewiele czasu) było zabić Niemca. Tylko to dawało szczęście. Nic innego. Człowiek innych zadań sobie nie stawiał. Byłyby nierozsądne, małe. Może istnieje czas sprzyjający miłości, miniony nim nie był.

Abel już nie przyciskał warg do jej płaszcza. Jej słowa oddalały go równie skutecznie jak w przeszłości obóz. Czując jej rację wyczuwał zarazem własną słabość. I wstyd. Nie po raz pierwszy myślał o tym jak bardzo nie przystawał do tego co się działo na świecie. Ginęły narody, w proch rozpadaly się miasta, dobytek wieków ginął w ciągu nocy, on czym się interesował? Co zajmowało go naprawdę?

IV.

Niebo miało kolor mydlin. Na rogu Gęszej i Dzikiej zachowała się brama wzięcia wojskowego, z Pawiaka kawały murosowanego parkanu, w dali sterczał kościół na Dziennej: tylko resztki wież i kościół ocalały. W żaden sposób nie mogli odnaleźć miejsca gdzie stał niegdys ich dom — dzisiaj garść śródz rozległych hałd gruzu. W cynamonowej wyrwie ogrodzenia pawiackiego tkwił tyś buk. Wisiała na nim tablica z krzyżem, pod nim stało dwóch młodych ludzi z odkrytymi głowami. Jeden opowiadał, drugi słuchał, obaj wpatrzni byli w grób pod bukiem. Abel i Amelia minęli ich. Doszli do szosy, która biegła niegdys środkiem ulicy Smoczej, po czym zawrócili. Rozdrażnienie utrzymywało się.

Gdy raz jeszcze powiedziała coś o fikcji, o życiu w którym wszystko jedno, i przy tym roześlęła się zym śmiechem — śmiechem kobiet po zdradzie, zadowolonych z dobrego kawału jaki im się udał — Abel dostyszał nagle zgrubienie w jej głosie i przypomniał sobie że ono go zawsze od niej odpychało. Spojrzał z boku, jak przedtem, na jej usta i stwierdził że są pełne zmysłowości: Poczul nienawiść. Schwycił Idącą za ręce i potrząsał nimi w złości. Potem uczynił taki ruch jakby chciał ją uderzyć. Uprzymomniwszy sobie co robi przeraził się. Zadrzał przed myślą iż z tych wszystkich lat jego nieludzkiej tęsknoty Amelia spamięta tylko skrzywioną w złości twarz. Chciał się wytłumaczyć, ale stać go było tylko na bełkot. Mówił słowa, których nie rozumiała i których nie mógł sobie przypomnieć nigdy potem. Czuł płomień w mózgu.

Gdy uchwycił jej wystraszone spojrzenie, opamiętał się. Przez długą chwilę czuł jeszcze skutki swego gwałtownego wybuchu, który wyczerpał go i uczynił obcym same-mu sobie. Amelia wpatrywała się weń uważnie: twarz mu się rozplywała, usta drgaly. Była zdolna do spostrzeżeń, gdy od tej umiejności on był o sto mil daleki. Przystanęli, Amelia zaczęła cicho i wolno:

— Abel, tyś żył w sobie, ja w życiu. Abel, nie jestem już tą kobietą którą zostawiłeś. Jestem inna. Jakże mi to zataić przed tobą? Rozejrz się wokoło, pomyśl co tu się stało... Miłość — długo krew jak mrówki toczyła mi się pod skórą, ciało nocami wzbierało jak ziemia na wiosnę, jak rzeka w czas powodzi, bolało jak zbite. W moich oczach tknięt się niepokoju młodych dziewcząt chodzących po świecie jak bez skóry. Tajemnica człowieka leży w tym, że się chce zawsze więcej niż można. Miłość — w pewnym

okresie ktoś jeden płył naszym czystym nurtem. Potem utrzymanie tego nurtu w Jego czystości stało się zadaniem, trudnym zadaniem, ale serce rozkochane jest w trudnych zadaniach...

Mówiła teraz czule i ciepło, położyła mu rękę na ramieniu. Naraz Abel zobaczył że nie siły nie ma w jej twarzy. Policzki miały delikatność chorobową, usta uciekły do środka, nieczytelne oczy były zmęczone.

— Ja uratowałam się w ten sposób, że wywieźli mnie pod śmieciami furmanki z zakładu oczyszczania miasta. Wtedy już nie było innej drogi. Cucilił mnie potem pół godziny, byłam prawie uduszona. Ostatnimi błyskami przytomności pomyślałam, że wyrzucą mnie na góry śmieci nad Wisłą. Nie wyrzucili i nie umarliam na śmietniku. Ale potem wszystko i tak sens straciło. Co do niedawna było wartości, stało się głupstwem, tragicznym szyderstwem, fikcją. Codziennie umierałam i codziennie rodziłam się na nowo ubolewając nad bagażem trocin w naszych umysłach. Przestałam rozumieć wczorajszy świat. Złota, wczorajszą go, i wszystko stało się dobrem co było złem, a dozwolonym wszystko przed czym do niedawna wzdrygałam się. Po tamtej stronie już nie stawiałam sobie zadań, nie walczyłam, nie chodziłam z cjanidem w torebce. Przedtem mówiłam sobie chcę się stać taka jak Marysia Werner. Nie chciałam stać się taka jak Marysia Werner. Potem stałam się jak Marysia Werner i ani razu nawet o tym nie pomyślałam. Skończył się czysty nurt...

Umlikła. Po chwili:

— Jakże to dziwne, że w obliczu takiego spustoszenia, takiego końca świata serce zachowuje jeszcze wszystkie te odcienie... Gdyby mnie teraz zapytano, czy żałuję wyrzeczeń, czy żałuję okresu, kiedy ciało jak piątka na smyczy skomlało w imię fikcji czystego nurtu odpowiedziałabym: Nie. Albowiem w obliczu tego końca świata, na który patrzymy, co zasługuje na nazwę fikcji, a co na tę nazwę nie zasługuje?

Usiedli na kawałku pieca kaflowego, najpierw Abel, potem, jakby po zastanowieniu się, Amelia. Uniesiony falą nadziei rzekł:

— Łudziłem się, że przyjdiesz. Za każdym razem wychodząc z domu zostawiałem wiadomość, gdzie mają mnie szukać. Szkoda mi było każdej chwili. Nie przychodziłaś. Napisałem, nie odpisywałaś. Później powiedziano mi, że jesteś szczęśliwa i od razu uwierzyłem. Nigdy człowiek nie wątpił o tym, co może mu sprawić ból. Ta wiadomość wszystko tłumaczyła. Nie odpisywałaś, nie przyjeżdżasz, bo wszystko co do życia potrzebne masz wokół siebie. Tym się właśnie szczęśliwi różnią od nieszczęśliwych: ostatni nigdzie nie są w domu. Byłbym może przyjechał, ale po co? Jest szczęśliwa — mówili mi — więc zostaw ją. I zostawiałem, choć czym był dla mnie każdy dzień, każda godzina... Widziałem, że ginę, ale nie wiedziałem, jak się ratować. Brat z Casablanki napisał, że bym pojechał do niego. Byłem szczęśliwy, gdy otrzymałem jego propozycję. Wczoraj przyjechałem w tych sprawach. Byłem, krążyłem pod twoim domem, nie miałem odwagi wejść. Pierwszą moją myślą tutaj było: Jakże mam wyjechać, przecież z daleka to całkiem na pewno uschnę... Przyjechałem jak ruina, przyjechałem z twarzą ścietą, niezdolną do uśmiechu, z ustami spopielionymi, z sercem zamrożonym, a widzę przecież co się ze mną dzieje odkąd jesteś przy mnie. Bez ciebie tu czy gdziekolwiek na ziemi nie ma dla mnie życia. Jeśli zostawisz mnie, to jakbyś mnie w grób straciła...

Wpłynęła w nią oczy. Nie było w nich nawet błękania, było tylko świadectwo. Twarz miała wysmaganą cierpieniem lat.
Rzekła:

— Abel, powtórzenia nie udają się w życiu. Są niebezpieczne.

Gdy jednak nalegał, dodała:

— Abel, młoty mój, i co ja ci zwrócę? To ciało, to ciało, które jak ziemia zdobyta...

...nie dokończyła. Opuściła głowę i tak przesiadła kilka chwil. Gdy ją podniosła, Abel miał przed sobą twarz nabrzmiałą, dotkniętą wzruszeniem. Górna warga śmiesznie podskakiwała:

— On poszedł na swoje groby, powiedziałam sobie pójdę i ja na swoje i przyszedłam tutaj... Dla nas już za późno, Abel. Nieraz myślałam, wrócisz, zejdziemy się

zapomnisz jak tysiące innych. Ale człowiek zaczyna na chwilę, a to trwa, a to na życie całe, i zerwać nie można...

Potem dodała głosem, nad którym już w ogóle nie miała władzy:

— Już nawet nie o niego chodzi. Ale ja mam dziecko, sześciomiesięczne dziecko. To coś całkiem innego...

Zamilkła. I Abel zamilkł. Już o nic nie prosił. Zamilkł tak głęboko jak się milczy wtedy, gdy gęśnię kontakt pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, gdy już wiadomo, że decyzja zapadła.

Pojął, że stracił ją na zawsze. To był koniec. Otoczony był morzem martwym. I żadnej nadziei, żadnego światła. Marzył o Amelii jak tylko człowiek długo głodny marzyć potrafi; jeszcze może dzieci potrafią tak marzyć. To ciało nie było już dla niego. Gdyby się nie wstydzili, prosiłby o nie jak o jamużnę, lecz tylko jako jamużnę mógł je otrzymać. To ciało, które po nim zasnęło wielu i wielu jeszcze miało zaznać, nie było dla niego, właśnie dla niego, który pragnął go jak nikt na świecie. Dlatego, że kochała go i sił nie miała, czy też nie chciała tej miłości więcej. Prócz niesmaku i poczucia upadku nic więcej z tego ciała nie mógłby wydobyć dla siebie.

Albowiem miłość, która raz była miłością uwznioślającą, gdy już nią być nie może, jest już tylko upadkiem. Właśnie dlatego, że czysty nurt jej życia związany był z nim, nie mogła teraz należeć do niego. Jakkolwiek mogła należeć do wszystkich innych.

Ukrył twarz w dloniach. Wiedział, że za chwilę odejdzie od niego ostatnia radość jego życia. Powrócą noc i dnie pełne szpar, przez które sączyć się będzie rozpacz, beznadziejność, odezwie się nieustanny pijący ból serca, tak dobrze mu znany. Zrozumiał, że oto los jego przeważał się całkowicie i ból rozszarpał mu piersi. Czuł jak nachyliła się nad nim, w jej oczach ujrzał łzy. Poczul że żarliwie, już zmieszane, jej i jego, na swej twarzy. Potem odeszła. Nie zawołał za nią. Patrzył za oddalającą się skamieniały i wyschnięty i tylko od czasu do czasu głuchy jęk wyrwał mu się z gardła. Patrzył za nią tak długo aż zniknęła nie odwróciwszy się ani razu. Siedział nie wiadomo jak długo. Potem, gdy poczuł zimno, wstał i powlokł się przed siebie.

Był dzień pierwszego listopada. Warszawa obchodziła swoje pierwsze po wojnie święto zmarłych. Miasto było pełne gro-

bów, było właściwie jak jeden wielki grób, co parę kroków leżały kwiaty na bruku, spomiędzy kwiatów wyglądały małe żałobne chorągiewki, płonęły świece. Małe chłopcy i małe dziewczęta trzymali straż nad grobami. Stali nieruchomo jak żołnierze. Inni mali chłopcy chodzący luzem zatrzymywali się przed nimi, uparcie przyglądali im chcąc ich zmusić do śmiechu. Na ulicach było niemal pusto. Na Długiej młodzi harcerze w „panterach” poniemieckich ubierali grób. Młodzi harcerze byli zadumani, tylko zadumani, nie było w ich zadumaniu pamięci żywej krwi żywych bliskich istot. Dla tych harcerzy była to już historia. Nieco dalej w żałobie muru płonęła świeczka, na chodniku stało kilka wazoników, przy nich kłęcząca kobieta zatopiona w modlitwach, nieruchoma jak krzesło. Szeroko otwartymi pogodzonymi oczami patrzyła w niewidzialne twarze swoich zmarłych. Abel przysnął obok. I w głębokim skupieniu, złączywszy się wewnętrznie ze starą, obcą kobietą, której poczuł się jak syn bliskim, pożegnał miasto, kraj i resztę nadziei przed daleką podróżą, w którą nie zabierał nic ponad to swoje udręczone ludzkie ciało.

Adolf Rudnicki

Czytamy listy...

Na temat pamfletu „o młodszym bracie”

„Mam lat osiemnaście...”

„Mam lat dwadzieścia jeden...”

Czytamy te listy, napływające do redakcji jako odpowiedź, jako reakcja młodego społeczeństwa na artykuł Żółkiewskiego z 9-go numeru „Kuźnicy” — i troski nasze nie zmniejszają się ani trochę. Więści przeważnie są smutne. Tak smutne, jak tylko smutne być mogą po tych sześciu latach straszliwych warunków wojennych, poprzedzonych znanymi nam metodami wychowawczymi międzywojennego okresu. Napisał Żółkiewski o zadaniach wychowawczych tak: „stworzyć atmosferę kultu myśli rzetelnej, sprawdzalnej, kultu wartości, które reprezentują tradycje humanistycznej kultury europejskiej, dojrzałej technicznie cywilizacji, empirycznej nauki... Nauczyciel eliminować brednię, belkot, przesad, łączyć młodzież z racjonalnym, wynikiem ze znajomości faktów, a przenikniętym postępowymi społecznie dążeniami, planem naszej narodowej i ogólno-ludzkiej przyszłości”. Tak. W naszych młodych latach o to właśnie przede wszystkim walczyliśmy w sobie i tego właśnie — w trosce o kształt przyszłości — życzymy naszym młodszym braciom i synom.

Przeoglądamy plik listów od nich... A jednak w większości bezpośrednich, na pewno szczerych wyznań, tkwi jeden ogromnie pociesający fakt: młodzi ludzie, piszący te listy, są poważnie świadomi swych niedostatków, wyników z sytuacji i warunków, w których wyrastali. Ta świadomość — to skarb dziś najwęższy. To podstawa, z której idzie się naprzód. Niezadowolone z siebie — to też motor postępu.

Lecz są i wypowiedzi, które takiej świadomości nie wykazują jeszcze. Wypowiedzi, w których widać wyraźnie całą otchłębność spustoszenia, wytworzoną tylko co minionym okresem historii. Ale i tu nie brak ciekawych informacji...

Ok: „Mam lat osiemnaście, jestem uczniem kl. II Lic. mat.-fiz., a za sześć miesięcy mam nadzieję dostać się na I rok chemii na Politechnikę Śląskiej...”

Mimo tego, że wybrałem sobie zawód, powiedziałabym ścisły, interesowałem się zawsze literaturą, jako najszlachetniejszym przejawem ducha ludzkiego...

Jeżeli chodzi o refleksje powstałe w moim umyśle po przeczytaniu Pańskiego artykułu, to przede wszystkim muszę zapytać czy rzeczywiście uważa Pan dzisiejszą młodzież akademicką za odłam warstwy burżuazyjnej? Jakkolwiek sam akademikiem nie jestem, ale jestem szczęśliwym posiadaczem siostry studiującej trzech rok prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i stąd stykam się często z akademikami i akademickami. Otóż moim zdaniem duży odsetek studentów rekrutuje się z warstwy włościańskiej. To, że ogół studentów nie odbija od pewnego szablону jeszcze przedwojennego, przypisałbym nie tyle asymilacji tej jednostek przez resztę studentów, co pewnemu „burszostwu” wspólnemu wszystkim akademikom... A w końcu czy nie należałoby tego podziału ze względu na pochodzenie wśród studentów w ogóle znieść? Przecież każdy prawie, bez względu na to z której warstwy społecznej wyszedł po ukończeniu studiów uniwersyteckich z dumą zalicza się do warstwy tzw. „inteligencji”. Nieliczne tylko jednostki postępują inaczej. I jest to moim zdaniem słuszne, bowiem ludowiec nie znaczy koniecznie włościanin, a PPS-owiec — robotnik.

A dalej: czy rzeczywiście ilość młodzieży „twórczej” jest u nas tak mała? Sądzę, że nie. Nie zgadzam się absolutnie z porównaniem jej do zszczytu soli w beczce wody. Jednostek szczególnie uzdolnionych, indywidualnych i społecznych jest wśród nas bar-

dzo dużo. Jakkolwiek nie usuwałyby się one bynajmniej od jakiejś pracy społecznej, literackiej czy naukowej, to jednak rzeczywistość widać ich bardzo mało. Nie znaczy to jednak, aby ich tak mało wśród nas było. Po prostu nie dano nam dotychczas pola do popisu, na którym moglibyśmy rozwinąć szerszą działalność. Mówi się tyle o organizacjach młodzieżowych, ale w rzeczywistości jest ich grubo za mało. Nie każdemu bowiem odpowiada Wici czy ZWM, a do partii politycznych nie nas zupełnie nie ciągnie. Zbrojna lub kulturalna robotka konspiracyjna to było zupełnie coś innego, coś co odpowiadało naszym charakterom chociażby przez swoją tajność. Obecnie to się skończyło. A teraz? Czy jest naprawdę pole na którym moglibyśmy pokazać co umiemy i na co nas stać? Sądzę, że nie...

A teraz postaram się przedstawić zarówno moje własne poglądy i przekonania, jak również i te zdania, z którymi spotykam się codziennie prawie u moich kolegów.

Zaczynając od kwestii najdrastyczniejszej: od polityki, muszę przyznać, że rzeczywiście my młodzi jesteśmy na wskroś nastawieni opozycyjnie. Jednak nie jest tak, jak to większość ludzi sadzi, jakobyśmy umieli tylko kpić, wyśmiewać i co najistotniejsze — nienawidzić dzisiejszego stanu politycznego Polski, ściśle mówiąc jej rządu. Nie, my umiemy także ocenić krytycznie jego osiągnięcia pozytywne i negatywne. I jeżeli nasze stanowisko w stosunku do niego jest nie tylko obojętne, ale może nawet niechętnie, to wypływa to nie tylko z naszych przekonań politycznych, ale także z ducha przekory, którego każda młodzież zawsze posiada. Nie mniej jesteśmy chyba wszyscy zwolennikami demokracji...

Jeśli chodzi o zagadnienia społeczne, to te zajmują nas stosunkowo najmniej. Uważamy równość za słuszną i wprowadzoną już w życie; nie chcemy więc wywalać otwartych już drzwi. Natomiast bardzo często zdarzają się między nami gorące sprowincenia. Co do mnie to był czas, kiedy tak, na „niewidzialnego” nie nosiłem Warszawiaków — zjawiska zresztą całkiem normalne u mieszkańców podwawelskiego grodu. Obecnie, kiedy poznałem ich bliżej nie tylko, że przestałem być do nich uprzedzonym, ale nawet polubiłem ich, za niesłychany tupet i werwę. Inne kwestie społeczne również nie są dla nas fascynującymi.

Najważniejszą dla nas kwestią jest kwestia nauki, literatury i kultury i ja to chcę bliżej omówić. Naprawdę, można by tu tak wiele powiedzieć, że nie wiem od czego zacząć. Bo obok radosnych i napawających otuchą objawów życia kulturalnego, literackiego czy naukowego młodzieży mamy i smutne i zatrważające fakty.

Co jest dla mnie niewyczerpaną kopalnią radości, to mój i moich kolegów entuzjizm do mówiąc ogólnie nauki. Nigdy w czasie wojny ucząc się na tajnych kompletach nie odczuwałem takiej chęci do przyswajania sobie coraz nowych wiadomości jak teraz. Nie mówię oczywiście o nauce szkolnej. Tę odrabiam dzisiaj, w przeciwnieństwie do czasów okupacyjnych jak pańszczyznę. Największą przyjemnością dla mnie jest zapoznawanie się z literaturą obcą, bo polską znam już niezłe. Oprócz tego, czytuję również wiele dzieł naukowych zarówno z zakresu chemii jak i innych nauk np. historii. Podobnie zresztą objawy zaobserwowałem u wielu moich kolegów.

I tu niestety wysuwa się już wiele zagadnień związanych z trudnościami na jakie w tym naszym poszukiwaniu wiadomości natrafiamy. Np. dlaczego na tak niskim poziomie stoi u nas znajomość literatury obcej? Zapewne, prawie każdemu znane są nazwiska Guy de Maupassant, Anatol France czy

Aleksieja Tołstoj. Kto natomiast zna jakieś ich dzieła? Kto słyszał chociażby o Stendhalu, Edgarze Poe i innych? I czy można ich za to winić? Nie można nauczyć się niczego z powietrza, a czy istnieją jakieś podręczniki do nauki historii, literatury obcej? Zapewne, są, ale czy po polsku? Ja przynajmniej nie widziałem. I słyszę później wśród starszej generacji głosy na nieoczytanie dzisiejszej młodzieży. A Shakespear'a dobrze nie znają, a o Dantym nie mają pojęcia, a to, a owo i wszystko to skrupiało się na nas Bogu ducha winnych. Bo w szkole średniej literatury powszechnej nie ma, samouk także ciężkie ma życie ze względu na brak podręczników i co tu robić? Mniej więcej to samo jest z świeżo wychodzącymi książkami. Taki „Czytelnik” wydaje jedna po drugiej piękne książki: Noc, Krata, Dym, nad Birkenau i in., inne wydawnictwa też nie śpią (Droga wiodła przez Narvik, Janosik, Dzikowy Skaro) a kieszeń uczniowska czy studencka częściej jest lekka powietrzem, niż ciężka pieniądzem. I nieraz jakkolwiek bardzo by się chciało tę czy inną książkę przeczytać, trzeba zrezygnować, stając przed niemożliwością. Podobno młodzież ma ułatwienie czytanie wszelkich książek. Podobno. Ja tego dotychczas nie spostrzegłem. A może tak trudno jest dostać te nowe, świeżo wydane książki tylko mnie? Chyba nie! Jeszcze inną przykrą kwestią jest sprawa następująca: wielu z nas próbuje coś pisać; są to skromne próby, jednak i najwięksi pisarze od arcydzieł nie zaczynali. Niestety jednak i w tej dziedzinie nie istnieją, a przynajmniej nie są nam dostępne książki, które mogłyby nam udzielić praktycznych wskazówek. Nie ma również nikogo kto by nam coś powiedział o porządku. Niektórzy z nas, optymiści, próbowali posyłać swoje utwory (czasem potworki) do redakcji pism literackich z prośbą o ocenienie i ewentualne udzielenie kilku wskazówek. Niestety, w najlepszym razie w rubryce korespondencji ukazywała się wzmianka: p. ML — słabo, nie skorzystamy. A biedny ML wcale nie chciał aby redakcja z tego korzystała, on pragnął po prostu dowiedzieć się jakie braki ma jego styl i jak należy pisać, wiesisty parowód redakcji owie to albo ludzie niesłuchanie zapracowani, nie mający ani pięć minut czasu na udzielenie paru słów przysięzemu mojemu koleźcie, albo też ludzie o kamiennym sercu. Wolę wierzyć w to pierwsze.

Ale dość już o tym, zajmijmy się teraz sprawami ogólnymi. Chociażby warunkami życia uczniów. Nie wiemy czy władze wyobrażają sobie, że uczniowie liceów i gimnazjów to sami Krezusi? O ile akademicy mają rzeczywistość jakąś pomoc ze strony władz, czy to w postaci paczek UNRRA, czy stołówek, czy domów akademickich, o tyle my, nie. Czy my mamy się odżywiać świeżym powietrzem? Sądzę, że jeżeliby nie było gimnazjalistów i licealistów to nie byłoby i studentów. Może jednak i nam należałoby się jakaś pomoc? Nie można żądać wiele od chodzących w dziurawych butach i z pustym żołądkiem. Wszystko polega na wzajemności, jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie. Może zapamiętałby to sobie ci wszyscy, którzy z młodzieżą mają do czynienia.

Zofia Matyaszevska:

„Studia rozpoczynam z chęcią opanowania metodami pracy naukowej, zdobywania jak największej ilości rzetelnej wiedzy i możliwości dalszego, samodzielnego badania interesujących mnie zagadnień. I cóż się okazuje? Zapas wiadomości ze szkoły średniej zmalał do tego stopnia, że właściwie nie może być mowy o prawdziwie owocnej pracy na wyższym poziomie. Lata okupacji zostały gorzkie ślady. Nie zaradziła temu lektura, pewien rodzaj samowykształcenia, dorywczego,

bezplanowego, bez jasno wytyczonego kierunku, samokształcenia kosztem najprymitywniejszych niekiedy rozrywek, wypoczynku po powrocie z fabryki.

W ciemnych latach 1942, 43 ilość godzin roboczych dochodziła do jedenastu. Jaka wartość miał wtedy wysiłek umysłowy, jak niewspółmiernie, groteskowo nikie osiągało się wyniki! I z takim „dziedzictwem”, ze strzępkami cudzej „mądrości” zabiera się człowiek do studiów! W podobnej sytuacji znajduje się pewien odsetek młodzieży, nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę z tego, jakie kruche są podstawy, na których ma się oprzeć nasze mityczne „wyższe wykształcenie”. Przy wszelkiej poważnej trosce o te nauki stwierdza się zasadnicze braki w dziedzinie opanowania zasad poprawnego myślenia, brak znajomości podstaw filozofii i psychologii — nie daje tego w dostatecznym miarze liceum. Jakże z tak ubogim „uzbrojeniem” mózgu przystępować do studiów nad literaturą, językiem, teorią literatury! Jak czytać prace nowszych teoretyków nie mając pojęcia, o co oni naprawdę walczyli, czemu się przeciwstawiali! Tu nie wystarczy przecież okrucy wiedzy „filozoficznej” spożywanej na gwalt przed egzaminem. Nie ma chyba bardziej demoralizującego, niszczącego uczuciowo umysłową przeświadczenia, naiwnego i płytkiego niż to, że wystarczy posiedzieć kilka nocy, aby wykuć trochę definicji, dat — i koniec — ktoś by się zajmował filozofią, logiką? Zmęzić się to później, podobnie jak nieznajomość języków obcych (nie pomogą lektorki czyli fantazje na temat: „drugi język obcy”). Brak jest przy tym ważnych, niezbędnych książek, bez których studia będą frazesem i blufem. Wreszcie — bieda, brak czasu, odległość od uczelni. Znam warunki życiowe niejednej studentki i studenta i krzyżać chcą niekiedy, gdy nazbyt dopieka różne kłopoty: po co my się właściwie porujemy z motyka na słońce? Wiem, zaraz usłyszę o samozaparciu „dla nauki”, o silnej woli, o idealizmie młodzieży — to wszystko rozumiem, mimo to nie zmieniał się fakt, iż długo jeszcze warunki nie będą sprzyjały pełnemu, swobodnemu rozwojowi...

To nie oskarżenie młodzieży, choć wygląda na nie; raczej jednostkowe samooskarżenie i próba o wskazanie drogi. Widzi się człowieka w niedostępnym dziedzinie jak dżuk, barbarzyńca albo — dziecko; zostawiony tylko sobie, z chęcią myślowego opanowania rzeczywistości, niedowierzający, a spragniony pewności, nieufny, wietrzący fałsz w górnych, nadejch frazesach, bezbronny wobec setek książek godnych i nie wartych czytania, uwikłany w gęszczone teorii, systemów, wiar, dogmatów, usiłujący wprowadzić ład w życie społeczne, nadać własnemu istnieniu pożądaną formę...

Wybuch wojny zastał mnie na progu liceum klasycznego (miałem wtedy 17 lat). Nauka nie trwała długo — już w listopadzie lub z początkiem grudnia 1939 r. Niemcy zamknęli szkoły. Podjęto prace w tajnych kompletach, nawiązywały się ściślejsze stosunki z nauczycielstwem, bardziej „ludzkie”, pozabawione przedwojennego dystansu. Osobiście nie uczyłam się w żadnej stałej grupie, lecz przerabiałam materiał samodzielnie, zdając co pewien czas. Opanowałam w ten sposób materiał języka polskiego na I kl. liceum, historię starożytną i część średnio-wiecznej, trochę łaciny (Vergiliusz, Horacy, Ciceron) i grecki. Dalszej nauce przeszkodziły warunki materialne, konieczność zarobkowania i uniknięcia bliźszej styczności z „Urzędem pracy”. Od kwietnia 1941 r. datał się nowy okres — po ukończeniu czteromiesięcznego kursu cholewkańskiego zaczęłam pracować w fabryce obuwia. Trwało to do lipca 1944 r. z przerwami paromiesięcznymi wskutek choroby. Fabryka była ciężka praca. Przeklinaliśmy ją nieraz — warunki początkowo stosunkowo — dobre, w 1943 i 44 stawały się nie do zniesienia. Nie tyle nawet ze względu na lichą płacę, marne wyżywienie, nadliczbowe karnie godziny za nieobecność lub inne „przesłpstwa”, ile z powodu ciągłego terroru — bywały całe tygodnie, kiedy majstrowie Niemcy codziennie wobec wszystkich bili pracowników za niedbalstwo w robocie, za kradzież czy po prostu pod jakieś jakimś pretekstem — odgłos policzków i świst pejsza mieszał się z terkotem elektrycznych maszyn i wywisłkami od polskich świni, złodziej i brudasów. Z drugiej strony jednak zetknięcie z inną młodzieżą — robotniczą, miejską, rzadziej wiejskiego pochodzenia, obserwacja ciągła (o ile to pozwalała możliwość rozmowy) zainteresowań zamiltonań, dążeń, planów na przyszłość, parę zawartych wtedy bliźszych, ciekawych i stosunkowo trwałych (do dziś) znajomości, wynagradzało prawie całkowicie wszelkie przykrości. Było czasem bardzo ciężko. Trudno dziś zrozumieć, jak wytrzymaływało się psychicznie tamte (często od świtu do wieczora zajęte) dni, tygodnie, miesiące. Wszystko składało się jak najgorzej, wzmagał się na każdym kroku ucisk żelaznej łapy, groza Zamku, ulicy Uniwersyteckiej (siedziby Gestapo), dymy z Majdanka wciągające się już do domów, miasto całe zaspane niebieskimi ciężkimi obłokami, wieczorami plonące stosy na zboczach obozu, a przy tym jeszcze fizyczne zmęczenie (robota na akord — niekiedy w lecie do 11 godzin). — Wszystko to odciągało od jakiejkolwiek pracy umysłowej. Wysuwał się do niej człowiek tym silniej, z pasją, z zaciętością, której nie widzieliśmy w normalnych warunkach. Podtrzymywała też atmosfera koleżeńskej grupy związanej podobnymi zainteresowaniami i wspólną nienawiścią. Książkami dzieliliśmy się jak chlebem w tych ówczesnych warunkach, które by przetrwały brutalnie nędżę polskiego bytowania pod okupacją. Na niedzielnych spotkaniach oma-

wialiśmy książki z psychologii, pedagogiki, filozofii (Foerster, Russel, Adler, Freud, Rubczyński, Bailey, Witwicki, Szuman, Mirski, Lempicki St., Twardowski — Rozprawy, Lukaszewicz — O nauce, Klimke — Istota i jego zadanie światopoglądu, Arystoteles — Etyka Nikomachejska, Platon — niektóre dialogi, Laches, Charmides, Flieb, Obrona Sokratesa, Entypon); z socjologii — Znaniecki — Upadek cywilizacji zachodniej, teoż — Ludzie tęższejsi a cywilizacja przyszłości, Czarnowski — O kulturze (nie pamiętam dokładnie tytułu) M. Dougal — Psychologia grupy, Hertz; Klasyki socjologii (A. Comte, H. Spencer, K. Marx, Durheim, Gobineau, Chamberlain, inne niemieckie szkoły socjol., Szczurkiewicz — Rasa, środowisko, rodzina; Suchodolski — Uspolecznienie Kultury — oraz odmiennego już rodzaju jak A. Radlińskiej — Stosunek wychowawczy do środowiska społecznego i Aderfeldowy — Młodzież przedmieścia; Chalasińskiego „Młode pokolenie chłopów”

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Muszę wyrazić podziw i szczególną wdzięczność dla przedstawicieli kultury czechkiej w Polsce. Redakcja „Kuźnicy” zwracała się z prośbą o materiały informujące o życiu kulturalnym zagranicą do wielu poselstw. Od materiałów tych odciepli byliśmy bardzo długo, jesteśmy wygłodzeni, a otrzymywanie tych rzeczy normalną drogą handlową ciągle jeszcze jest trudne. Niestety ten apel redakcji tylko u Czechów spotkał się z tak niezmiernie życzliwym i madrym oddzwiekaniem. Może zaważyły tu nieco osobiste kontakty niżej podpisanego z przedstawicielami czeskiej sfery kulturalnych napokami w Londynie (na konferencji U.N.E.S.C.O.) i na nauczyckich zjeździe w Bytomiu. Ci zechcieli pamiętać o co ich prosiłem i pomogli swemu poselstwu. Redakcja otrzymała szereg wydawnictw poetyckich i prozaicznych, czasopism literackich, teatralnych i społecznych imponujących bogactwem treści i piękną szatą graficzną. O tym będzie jeszcze osobno pisał w „Kuźnicy” sprawozdawca literacki.

Ja sam rozuczyniałem uprzejmość czeskiej przyjaciółki — poprosiłem ich o nadesłanie prac i wydawnictw raczej już specjalnych z pogranicza teorii literatury i językoznawstwa, którymi przed 1939 r. interesowałem się w szczególności. Ci zechcieli mi pomóc w moim przedsięwzięciu i dostarczyli mi sporo materiałów, które w tym momencie są dla mnie bardzo cenne. W szczególności prosiłem o roczniki za okres wojny czasopisma „Slovo a slovesnost” (organ praskiego kółka lingwistycznego) oraz prace najwybitniejszego wśród tych raczej językoznawców — teoretyka literatury Jana Mukarovskiego. Jakże byłbym wzruszony, gdy poczęta przyniosła mi z poselstwa czeskiego i komplet zamłankowanego czasopisma za lata 1939—1943, kiedy się ukazywało i wszystkie starannie zebrane ostatnie prace profesora Mukarovskiego aż do drobnych odcinków z artykułami w encyklopedii włącznie. Zdecydowała tu ważna i życzliwa pomoc samego profesora. Myślę, że choć w części wydzięczę się za tak przyjaźnielską uprzejmość, jeśli zwrócę uwagę naszych polonistów, krytyków, literatów na tę czeską myśl teoretyczną — literacką tak ciekawą, oryginalną, płodną i rzetelną z naukowego punktu widzenia.

Wiemy jak gorączkowo szukała wiedza o literaturze w ciągu wszystkich 50 lat wyjścia z ciasnego łańka filologizmu. Jak ciężko przyczynkarstwo, unikanie wszelkiego typu teoretycznych ujęć i wyjaśnień rzeczywistości literackiej, zadowalanie się niesprawdzalnym, metaforycznym opisem. Jak otrząsano się z jałowych przez swą wyłączone i tepe ujęcia poszukiwań wpływologicznych. Drogi wyjścia szukano najpierw w impresjonistycznej krytyce literackiej. Poznanaukowść tych form wobec rosnącego zrozumienia dla formalnych rygorów naukowego postępowania — nie mogła długo zadawała. Toteż próbowano szukać form teoretycznego ujęcia problematyki literackiej w oparciu o różne idealistyczne koncepcje filozoficzne (od Gundolfa czy Ungera przez Cysarza czy Walzela aż do egzystencjonalnej wiedzy o literaturze np. Heideggera o Hölderlinie). Dzieło literackie traktowano jako rzekoma objęty wację takiej czy innej struktury duchowej. Pojęcia przecież, którymi operowano dotyczyły i miały dotyczyć morfologii rzekomego „ducha”. Tak to pojmowali Dilthey, Spranger czy Freyer — prawodawcy tej „wiedzy”. Stosowanie pojęć morfologicznych może adekwatnych (nie jestem w tych sprawach kompetentny) wobec rzeczywistości „ducha”, stosowanie ich do tego generu innej rzeczywistości: dzieła literackiego — nie pozwalało na ścisłe, jednoznaczne i właściwe ujmowanie elementów właśnie dzieła literackiego. Trzeba było stworzyć pojęciowy system nie „morfologii ducha” — ale morfologii dzieła literackiego.

Poszukiwania w tym kierunku poszły dwoma drogami: fenomenologiczną i lingwistyczną. Pierwsza okazała się jałową. Nie tu jest miejsce na analizę jej fałszywych antynaukowych podstaw filozoficznych i metodologicznych. Wystarczy powiedzieć, że w praktyce droga fenomenologów nie wiodła z żadną tradycją dotychczasowych badań literackich, nie pozwalała na rozwijanie, oczyszczanie metodologiczne i wykorzystywanie dotychczasowych osiągnięć i dotychczasowej wiedzy. Fenomenologowie miast uchwycić

(tylko 2 tomy). To najważniejsze pozycje. Nie miało to charakteru systematycznych studiów — nie zawsze nawet można mówić o dyskusji; rozmawialiśmy szukając wytlumaczenia zachodzących wypadków i przemian współczesnych oraz sposobów opanowania bestii — ale to prowadziło już na inne tory, dalekie od teoretyzowania na tle książek. Poza wymienionymi książkami — „prywatna lektura” — literatura starożytna oraz naukowe dotyczące kultury greckiej i rzymskiej; sporo ze współczesnej poezji polskiej (międzywojennej), odrobina tłumaczonej beletrystyki (Undset, Conrad, P. Buck), z poezji obcej przekłady...

O pewnych książkach mówiło się tylko z określonymi osobami — z kims w danej dziedzinie lepiej zorientowanym, szczególnie zainteresowanym. Te kontakty wytwarzały istotnie trwałe więzi umysłowe...

Po upragnionej klęsce Niemców w lipcu 1944 r. nie wróciłam do fabryki mimo polepszenia warunków — ciągnęło mnie liceum'

niedokończony. Nie miałam możliwości placenia za naukę, objąłem więc funkcję wóźnej w jednej ze szkół średnich będąc jednocześnie uczennicą przypięzzonego liceum. Czas dzielił się z koleżanką (także wóźną) między nasze służbowe czynności, naukę i pomoc w domu. Spało się przez cały rok szkolny (wyłączając naturalnie ferie) po sześć godzin na dobę — i wystarczyło jakoś siły, aby zdać maturę i mieć wreszcie otwarte wrota do wyższej uczelni. Bardzo ciekawy był znów proces wrastania w inną grupę — klasę w szkole, obserwacje stosunku młodzieży t. zw. inteligencjeckiej do pracy fizycznej i naszej „pozycji społecznej” — obserwacje co prawda niezbyt wesole i nie pocieszające...

Odkładamy resztę listów do następnych numerów „Kuźnicy”. A gdy się listy wycierpią — zostaną użyte jako materiał do wniosków. Bedziemy myśleć i pisać o tych sprawach dalej.

J. Z.

Kronika czechka

„Slovo a slovesnost”

tendencje rozwojowe na drodze do empiryzmu i poznawczo cenne kierunki dotychczasowych badań literackich — zaprojektowali dyscyplinę tak językowo, metodologicznie niewspółmierną z właściwościami tradycyjnej nauki o literaturze i właściwościami tego zachowania, które zwykliśmy uważać za naukowe w ogóle, że ci wszyscy, którzy uważają za rozsądne kontynuować tradycyjne prace badawcze oczyszczając je jedynie i udoskonalając zgodnie z coraz jaśniejszymi uświadamiaciami nauki teoretycznej - naukowymi dyrekcjami poprawności i sprawdzalności — musieli się od metod fenomenologicznych odwrócić. Zawilna tu leżąca u podstaw fenomenologii husserlowska walka z empiryzmem.

Toteż właściwą drogą do nowoczesnej teorii znaleziono na drogach rozwojowych językoznawstwa. Tak jak je wyznaczała działalność De Saussure'a, wielkiego Polaka, Baudouin de Courtenay'a i wreszcie praskiej szkoły lingwistycznej z Troubetzkoy'em i Jakobsonem na czele. Wielki tu także był wkład rosyjskich uczonych: Marra i V. Vinogradova. Nie tu miejsce na historię tych spraw. (Wiele o tym powiedział Kazimierz Budzki w Nr 14 „Kuźnicy”). Wystarczy powiedzieć, iż na drodze pogłębiania wiedzy teoretycznej o języku — dało się interpretować dzieła literackie jako fakt językowy.

To 1) pozwoliło szukać uwarunkowania społecznego dzieła literackiego w ramach uwarunkowania całej społecznej działalności językowej. Przyniosło to ze sobą znaczne uściślenie problematyki socjologicznej interpretacji literatury, umożliwiło tworzenie bardziej naukowych hipotez dotyczących procesów rozwojowych literatury, 2) pozwoliło stworzyć jednolity system pojęć morfologicznych obejmujących zarówno elementy języka jak i dzieła literackiego. System pojęć nie dowolnych, opartych na rzekomych wycieczkach skomplikowanych form literackich. Ale system pojęć wywodzący się — od prostych już istotnie nieredukowalnych, bezpośrednio danych elementarnych stosunków językowych (różnicujących znaczenie) — jak stosunek opozycji fonologicznej t. j. przeciwieństwo dwu fonemów (najmniejszych elementów różnicujących znaczenie w systemie językowym) i to tak dobranych fonemów, by ich opozycja dotyczyła jakiegoś jednego uchwytanego elementu znaczeniowego np. b — p (gdzie mamy różnicę dźwięczności tych dwu głosek). Wyhodząc od tych pojęć podstawowych — nowoczesne językoznawstwo i nadbudowana nad nim wiedza o literaturze tworzy swoje kategorie morfologiczne zgodnie z dyrekcjami logiki i ścisłości naukowej. Tworząc taki system pojęciowy, by pojęcia morfologiczne oznaczały nawet najbardziej skomplikowane, złożone twory literackie oznaczały wprawdzie nie proste sumy, ale poznawczo bogatsze, całościowe układy tych właśnie elementarnych składników językowej; a więc i literackiej rzeczywistości.

Wyłożona tu zbyt pobieżnie teoria jest może zawiła i przez to odpychająca. Myślę jednak, że ukazuje te doskonale, dalekie perspektywy myślowe właściwe lingwistycznej wiedzy o literaturze. Najlepiej przecież ocenić jej wartość po rezultatach. Budowała je od 1929 r. w trudzie naukowym praska szkoła lingwistyczna. W ostatnich latach przed wojną teorie tej szkoły podbiły językoznawców całego świata. Wystarczy stwierdzić — kto pisał w praskich wydawnictwach jakie sławy, jakie nazwiska, kto zabrał głos w księdze ku czci Troubetzkoy'a w 1939 r.

Wielu badaczy literatury — u nas młodszy skupieni przy Wójcickim i Kridlu — przystąpiło do tego ruchu. Międzynarodowym wydawnictwem praskiej szkoły fonologicznej w językoznawstwie były „Travaux du Cercle linguistique de Prague” (do wojny 9 tomy). Najwięcej jednak miejsca literaturze a nie językowi poświęcano w publikacjach w czeskim języku. Jak się łatwo domyślić najczęściej robiono w działach wiedzy literackiej zaniedbanych przez impresjonistycznych krytyków. W tych działach, do których łatwo jest przejść od danych ściśle językowych jest jeszcze niezorganizowanych literacka artystyczna. A więc przede wszystkim w teorii wiersza. Do tego działu należą pionierskie prace Jakobsona. Lecz nie byłyby one możliwe bez zbudowania teorii języka artystycznego —

przeciwstawianego językowi komunikatywnemu. Pierwsze prace szkoły praskiej dotyczyły właściwie ustalenia cech i właściwości języka artystycznego oraz uwytłumaczenia, że o jego rozwoju i przeobrażeniach decydują wyniki artystyczne, właściwe dziełu literackiemu jako swoistej całości właściwego prądu literackim i życiu literackiemu o swoich cechach. Zastosowania tych teoretycznych wyników do konkretnych analiz literackich podaje przede wszystkim wspomniane na początku czasopismo: „Slovo a slovesnost”. Przed wojną nowatorzy — polonisci wiele się z niego uczyli. Leżą przede mną nieznane mi dotąd wojenne roczniki i z radością widzę, że poziom wydawnictwa nie obniżył się. Jaka szkoda, że nie mamy takiego pisma w Polsce. Pisma uczącego łączące teoretyczne dociekania nad językiem z solidną teorią literatury. Pisma, które by propagowało, że dążenie do teoretycznych wyjaśnień rzeczywistości jest szczególną cechą wszelkiej nauki jak mówił madry Meyerson. — A uaukowanie wiedzy w literaturze jest warunkiem wyjścia jej z dzisiejszego impasu.

Nowe roczniki „Slova a slovesnost” tematycznie rzecz biorąc zawierają prace o stylu, prozodii, kompozycji epiki, technice słowa, o literaturze starożytnej, strukturze powieści, języku, estetyce języka, filozofii języka, teatrze poetyckim, wierszu różnych narodów słowiańskich (polski, serbski itd.), wierszu białym, metodyce mowy, mowie teatralnej, ludowych elementach w języku literackim, periodyzacji dzieł literatury. Pismo przynosi w 1941 r. obszerną dyskusję o stylu, w której biorą udział tacy znawcy jak Havranek, Trnka, Korinek, których nazwiska specjaliści dobrze pamiętają.

Mamy tu periodyczne sprawozdania z postępu nauki w zakresie językoznawstwa i literatury. Liczne recenzje i krytyczne przeglądy. Z piszących należy wymienić bardziej znanych w Polsce: Mukarovsky'ego, Trosta, (w 1936 był w Polsce, zajmował się litewszczyzną), Hrabáka (pisał w 1937 o staropolskim wierszu i drukował w polskich wydawnictwach), Mathesiusa, Czvikovi'ę. Innych wymienię mówiąc o dyskusji stylistycznej. Należy z zazdrością i podziwem myśleć o kulturze narodu czeskiego, który w najcięższych latach wojny potrafił skupić około 40 współpracowników w tak specjalnym piśmie, tak nowatorskim naukowo i na tak niezwykle wysokim poziomie.

W piśmie literackim — jakim jest „Kuźnica” — szczególną uwagę należy oddać twórczości Jana Mukarovskiego. Pisarz ten najszerzej zajmuje się problemami estetyki i teorii literatury.

Korzysta z wyników lingwistów — sam nie jest językoznawcą — jest za to wzorowym typem nowoczesnego badacza i krytyka literatury. Od lat wzywał się z praską szkołą fonologiczną i interpretuje twory literackie właśnie jako fakty językowe.

Ci badacze czeszy chętnie swą teorię nazywają strukturalizmem. Mówią o strukturalnej estetyce, językoznawstwie i wiedzy o literaturze (por. artykuły Havránka i Mukarovskiego w dodatku do Ottova Słownika Naučného Str. 452—458), wychodzą od ogólnego pojęcia struktury t. j. nie mechanicznej sumy elementów, ale wyższej całości funkcjonalnie powiązanych części, której przykładem, jest system językowy nie będący przecież sumą fonemów, ani nawet słów. Przypomina to do pewnego stopnia podobne rozumienie kultury w socjologii (etnologii) właściwie szkole Bronisława Malinowskiego. Ten ostatni pisarz mówi bowiem: „Współczesna etnologia koncentruje się przede wszystkim na tym co zazwyczaj nazywane jest dzisiaj funkcją zwyczajów, wierzenia lub instytucji. Przez funkcję rozumiemy rolę odgrywaną przez jakikolwiek bądź składnik danej kultury w jej pełnym systemie”.

Strukturalna wiedza o literaturze wedle Mukarovskiego pojmuje dzieło literackie jako dynamiczną równowagę części, struktury. Szczególną wagę w strukturalnej teorii literatury mają problemy artystycznego materiału — którym jest w literaturze język, główny z systemów znaków, które człowiek stworzył. Ale człowiek, twór społeczny. Cechą języka literackiego, w odróżnieniu od innych systemów języka jest jego nastawienie na wyraz, upatrywanie celu, (lepiej funkcji kulturowej) językowej twórczości, w samym tworzeniu języka. To oczywiście nie pozwa-

szanujący się obywatel zna na pamięć wszystkie nazwiska wyliczane w książkach p. t. „Jak zostać milionerem?”. Forda, Rockefellera czy Morgana zna i zacytuje każdy. Do policzenia tych panów wystarczą jednak palce u rąk, wiara zaś w to, że każdy spośród dziesięciomilionowej rzeszy bezrobotnych w USA mógłby się również znaleźć na ich miejscu, gdyby tylko wykazywał chęć wybicia się, jest dziecięcą naiwną. Osobiście łatwiej mi uwierzyć w możliwość cudu, aniżeli w tego rodzaju przejaw dobrej woli i chęci!

Kandydatom na członków elity nie wolno się żenić z byle kim! Należy im wyjaśnić, że „członkowie rodzin obarczonych rozmaitymi chorobami są pod tym względem co najmniej równie niepożądanymi jak członkowie rodzin ubogich (str. 253)”. To, że „miłość już słucha pieniądza” jest dla Carrela zrozumiałe samo przez się. Należy tylko doprowadzić do tego, aby „w równym stopniu (!) słuchała rozważań o zdrowiu”. Co prawda może to zmusić do pewnych wyrzeczeń się osobistych, ale konieczność poświęcenia się wielu jednostek jest wyrazem prawa naturalnego (str. 254). Nieodparcie przypomina się nam rodzenie dzieci na rozkaz Führera praktykowane na szeroka skalę w „narodzie panów”. Miłość podporządkowana sprawie narodu, to ideał przysięgający wszystkim władcom autorytatywnym ostatnich czasów. Jednostka winna się poświęcać dla rzekomego dobra państwa, bo to jest prawo naturalne! Na jakiej podstawie to prawo naturalne zostało sformułowane, nie wiemy wcale. Mamy je przyjąć do wiadomości bez dyskusji, bo rzeczy „naturalne” powinniśmy pewnie intuicyjnie za takie uważać!

Z biegiem czasu „dobierane starannie małżeństwa wytworzyłyby nową arystokrację, z której pochodziliby ludzie elity (str. 255). Utworzenie tej biologiczno-dzieńdzicznej arystokracji byłoby doniosłym etapem w rozwiązywaniu wielkich problemów współczesnych (str. 256)”.

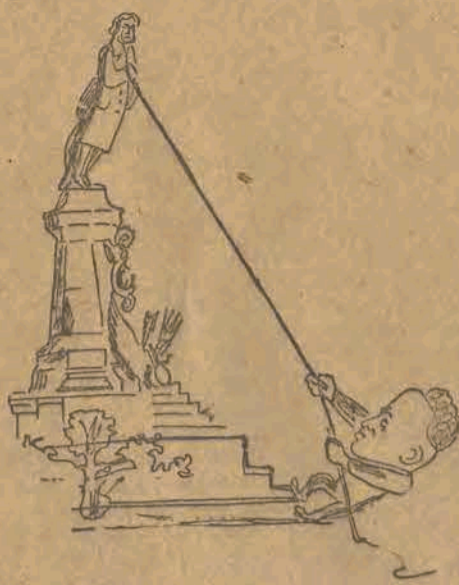
Pomocną w tworzeniu nowej elity ma być przede wszystkim kobieta. Wobec tego, że „płci nie są równe (str. 229), że kobieta różni się zasadniczo od mężczyzny, że każda komórka jej ciała jest inna (str. 74), nie należy dawać jej tego samego ukształtowania intelektualnego ani wpajać tych samych ideałów co chłopcom (str. 76). Kobieta winna wrócić do swej naturalnej funkcji, tj. rodzenia i wychowywania dzieci (str. 267)”. Jak widzimy rola przeznaczona kobiecie odpowiada ściśle niemieckim trzem K Kinder, Küche, Kirche, a tajemnicą autora pozostaje jak kobieta inaczej intelektualnie niż mężczyzna kształtowana i przepojona innymi ideałami ma nie tylko rodzić ale i wychowywać dzieci na wartościowych ludzi.

Co się tyczy wychowania dzieci, zaznacza Carrel, że nie należy ich umieszczać w ogródkach dziecięcych czy w szkole, bo w towarzystwie rówieśników źle się rozwijają. „Aby się rozwijać należącej jednostka potrzebuje względnej samotności i troskliwości małej grupy rodzinnej (str. 228)”. Nie wiem na jakich przesłankach opiera autor

swoje dogmatyczne wnioski, prawdopodobnie tylko na nienawiści jaką żywi dla ustroju demokratycznego, którego jednym z zasadniczych przejawów jest szkolnictwo powszechne. Carrel dziwi się jak ludzkość mogła tak długo „wierzyć w równość demokrację, której dogmał wal się dzisiaj (1935!) pod obuchem doświadczenia ludów? Głupi, nieinteligentni, roztrzęsieni nie mają prawa do wyższego wykształcenia. Zasada demokracji przyczyniła się do obniżenia cywilizacji, nie dopuszczając do rozwoju lepiej obdarzonych (?) (str. 229)”. Znow szereg pewników opartych jedynie na niezbyt mocnej podstawie jaką tworzy tylko złośliwe życzenie autora. A wypowiedziane są te „prawdy” z tupetem i pewnością siebie jakie znajdujemy poza tym może tylko u Mussoliniego czy Hitlera. Wachlarz ludzi nie nadających się zdaniem Carrel do studiów wyższych, a więc i do tworzenia elity, jest bardzo szeroki. Jakże łatwo przyczepić np. komuś łatkę że jest roztrzęsiony. I oto zdecyduje się los jego i wszystkich zeń powstałych pokoleń. Choć szanse jego rozmnożenia się nie są wielkie. „Po cóż przedłużać życie ludzium nieszczerliwym, egoistom, głupcom i ludziom nieużytecznym? (str. 152). Należy izolować tych, którzy przenoszą na innych swe choroby umysłowe i moralne (str. 237)”. Ponieważ utrzymanie więzień czy domów izolacji jest zbyt drogie „należy rozporządzać zbrodniarzami i obłąkanymi w sposób oszczędniejszy (str. 269). Poprawianie zbrodniarzy mniej niebezpiecznych batem lub jakimś bardziej pedagogicznym sposobem, a następnie krótki pobyt w szpitalu wystarczająco zapewne do zapewnienia porządku Co do innych... to zakład eutanazyczny zapatrzoną w gazy właściwie pozwoliliby rozporządzić nimi w sposób oszczędny i ludzki! Nie należy się wahać w porządkowaniu społeczeństwa współczesnego na miarę jednostki zdrowej Systemy filozoficzne i przesady uczuciowe winny zniknąć wobec tej konieczności. Bo ostatecznie rozwój osobowości ludzkiej jest celem ostatecznym cywilizacji (str. 270)”.

Coż można dodać do tych kilku zdań? Nasze społeczeństwo przez długie lata okupacji poznało na sobie zbawienne skutki też pana Carrela. Nie jeden na własnych plecach odczuł te „bardziej pedagogiczne sposoby”, po których stawał się konieczny pobyt w szpitalu, często dlatego tylko krótki, bo delikwent szybko opuszczał ten pałódz placu. Tak ładnie przez Carrela nazywane „zakłady eutanazyjne” to nic innego jak komory gazowe Majdanka i Oświęcimia, Trebłinki i Bełżca i tylu, tylu innych, w których „elita narodu panów” trwała miliony „głupców, nieszczęśliwych lub nieużytecznych ludzi!” Ale ci ludzie ginący to bracia i siostry ojcowie, matki i dzieci tych, którym dziś na pocieszenie poleca się studiowanie książki pana Carrela, mającej im udowodnić, że to co przeżywali ma swoje teoretyczne uzasadnienie. Ze są naukowo uznani za pariasów, których jedyną rolą to służenie elicie do czasu aż staną się niepotrzebni i dojrzały do zakładu eutanazycznego. Ariur Bez.

Kronika kulturalna



rys. J. Zaruba

W niedługim czasie ukaże się zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza. Pracuje nad nim specjalnie powołany komitet redakcyjny z udziałem uczonych polonistów i pisarzy. Przedmowę do tego wydania napisał znakomity poeta Julian Przybysz. Przytaczamy ją w całości: „Wydamy Mickiewicza. Wprawdzie nie można odmówić jego dziełom pewnych walorów artystycznych i zdrowych tendencji społecznych, jednak przestarzała forma o typie karykaturalnym, oparta na monotoni, rytmicznej i najwyżej banalnych rymach, razić musi dzisiejszego czytelnika. W czasach, gdy do zadań literatury należy kształtowanie nowego człowieka, gdy mamy domagać się innej postawy wobec rzeczywistości, a twórczość samorodna, czerpiąca swe soki z reformy rolnej, wycięza nowe drogi, poezja przedwojenna w rodzaju mickiewiczowskiej musi być zwalczana jako objaw literackiego wstecznictwa. Z uwagi jednak na pewną dodatnią rolę, jaką odegrał Mickiewicz w dziejach literatury ojczyźnej, warto byłoby zachować niektóre jego utwory na dając im wszakże bardziej współczesną, zrozumiałą i demokratyczną formę. Piszący te słowa, pokusił się o próbe tego rodzaju przeróbki. Oto strofa Mickiewicza:

Tato nie wraca. Ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze,
Wylały rzeki, pełne zwierca bory,
I pełno zbójców na drodze.

A oto proponowana przeróbka:
Ojca nieobecnego
postać niezaginiona —
boli.

Wyciągniętymi ramionami dzieci
ranki i wieczory
napelniają się daremnie.

„Zemsta” w Teatrze Wojska Polskiego

Jak grać Fredre? Pamiętam jak na parę lat przed wojną warszawski teatr P.I.S.T. wystawił jednoaktówkę Fredry „List”. Jest to ramotka oparta wyłącznie na komizmie sytuacyjnym: wszystkie postacie, spotykając się w nocy, nie poznają siebie wzajemnie i stąd nieporozumienia. Niestety, w tekście nie ma ani słowa wyjaśnienia, dlaczego wszyscy włóczę się po nocy. Reżyser poradził sobie bardzo dowcipnie — w rogu sceny, przedstawiającej podwórze, umieścił małą wygodkę i w ten niezmiernie prosty sposób wyjaśnił powód nocnych peregrynacji. „List” był jednym z najbardziej śmiesznych przedstawień Fredry, jakie widziałem w życiu.

Przypominam to, aby podkreślić konieczność świadomej decyzji, w jakim stylu zamierza grać się Fredre? Trzeba wybierać pomiędzy groteską a komedią obyczajową, inaczej nigdy nie wykróczy się poza poprawność. „Zemsta” w reżyserii Leszczyńskiego była tylko poprawna. Nie jest to wiele jak na ambicje i możliwości pierwszego teatru w Polsce. „Zemsta” może być nie tylko popisem gry aktorskiej, ale również popisem inwencji reżysera. Obecne przedstawienie wydało mi się mało zabawne, zbyt naturalistyczne. Fredro, najbardziej rasowy klasyk polskiego teatru, pozwala, co więcej zmusza do podkreślenia czystej konwencji teatralnej. Ale konwencje te trzeba pokazać widzom, nie lekkać się przerysowania, ko-

Zimne dale trwoży
we łzach —
bryła oczekiwania.
Przezroczyście kiście rzek
rozwinęte
na lodydze.
Obszczając każdy krok swój na skrzyżo-
waniu brzezin

krawędź zmierzchu
wypuszcza słońce zwierząt
oburącz

rozchyl drogę —
na niej
wysokie wzebranie zbójców.

Nie ulega chyba wątpliwości, że dopiero po opracowaniu w proponowany sposób, utwory Mickiewicza mogłyby stać się pożyteczną lekturą dla mas”.

Nowy Grunwald.

Dowódca oddziału saperów, zajętych uprzątaniem gruzów z Placu Saskiego, dowiedział się o tym, że w Zachęcie zasiedli Krzyżacy, nie wytrzymał nerwowo i kazał dać do nich ognia, wskutek czego dzieło Matekaj zostało poważnie uszkodzone. Może by odpowiednio władze wyjaśniły, czy matejkowscy Krzyżacy powinni wystąpić do sądu o rehabilitację aby mogli na przyszłość spokojnie i bezpiecznie pozostać w Zachęcie?

Portret krytyka.

Ob. Mach zamieścił w „Kuźnicy” artykuł krytyczny, analizujący dokładnie piękną książkę Jerzego Andrzejewskiego „Noc”. Posiłkując się tą samą metodą drobnozgowej analizy anatomicznej - biologicznej, Andrzejewski nadał nam rysopis ob. Macha, zdumiewający niezwykłym podobieństwem:

„Pięć męska. Waga 68 kg. Wzrost 1.64. Ciśnienie krwi 147, tętno 78, temperatura ciała 36,8°. Pigmentacja skóry białe - kremoworóżowa. Gęstość włosów 238 na 1 cm², objętość czaszki

$\pi r^2 (c + 2) 3 \text{ mm}^2$

$V \text{ ra } (b^2 + c^2) 3 \text{ n}$.

rozstawienie oczu 4 cm, widzenie w dal normalne, szkła do pracy 1,5 diopry, oddech 20 leukocytów w polu widzenia 12—15, szczawianów brak”.

Podany przez Andrzejewskiego wizerunek ob. Macha jest tak precyzyjny i ścisły, że od razu poznaliśmy sympatyczną twarz i postać naszego cenionego współpracownika.

Ankieta.

„Odrodzenie” wypisało wśród pisarzy ankietę na temat ich zamierzeń i prac literackich. Pozwalamy sobie zadać pytanie, dlaczego zamieszczone są wypowiedzi Cieciora, Dylewskiej, Rybsza, Koprzywica, Rygały, Kolaszkiej i Mickosza, a natomiast pominięci zostali Lejeck, Palczak, Słupski, Gniwosz, Konopacz, Windalski, Poniewierska i Podkowiński? Sądymy, iż należałoby dać czytelnikom pełny, a nie częściowy tylko obraz odradzającej się literatury.

Klub szaradzystów.

Wojewódzka Rada Narodowa w Krakowie powołała do życia Klub Szaradzystów, który z pewnością przyczyni się do ożywienia ruchu kulturalnego w podwawelskim grodzie.

Ufundowano równocześnie nagrodę w wysokości 50.000 zł za największą ilość trafnie rozwiązanych w ciągu roku szarad i rebusów. Nie ulega wątpliwości, że zwolenników tych miłych rozrywek umysłowych ucieszy wiadomość, że Klub Szaradzystów, który liczył tak wielu członków przed wojną, znalazł sobie znowu miejsce na ziemi.

Realizm i mitologia.

Nie jestem amplituda, filoksera, ipekakuana, rododendronem, onyfofagą, izochymena, scopalomina, grasicą, albedem, cholekinazą, chameropsem, pasmanteria, cotangentem ani helikopterem i dlatego bardzo mi się podoba książka Jana Kotta.

Jan Brzechwa.

JANUSZ MINKIEWICZ

Włoscianie

„Straszne mieszkanie. W strasznych mieszkaniach
Strasznie mieszkają strasni mieszczanie...”
(Julian Tuwim)

Straszne bładania. W strasznych bładaniach
Smutek się w knajpie snuje po ścianie:
Po trzech koniakach, po czterech daniach
Strasznie się mają strasni włoscianie.

Gnoju nie wozić, nie rąbać polan,
Im — już nie chodzicie w zgrzebnej siermiędze:
Chłop — w marynarce biała do kolan,
Chłopka — w „perlonach” śni o potęgze.

Minęły czasy postnych kartofli:
Chłopi, by przetrwać kłeskę chwilową,
Karmią się Boeuf'em dziś Strogonoff-ów
I „dwugroszówką” swoją „Ludową”.

Czytają. Tytuł. Poznają po nim,
Ze wnet... że Churchill... że pachnie wojna...
W serca nadzieje sęczy upojną
Z pomiędzy wierszy — Kręci Anonim.

Więc chociaż zawist ponad łeh zgrają,
Lewicy upiór (ich stylom: fantom),
Myśl kawiarniana swą poświęcają
Często ojczyźnie (choć częściej — kantom).

Prostym się chłopom mieszają słowa,
Handlowe słówka i hasła harde:
„Miekkie?... „Stać twardo na gruncie...” „Twarde?” —
Nowa się tworzy gwara ludowa.

Potrwa rodaków rozmowa nocna,
Aż im się zmnyli w pojęć natłoku
Lichwiarski procent z procentem w bloku,
Aż im się język pomlesza docna...

Wtedy im wreszcie kraj powie: — Z Bogiem.
„Requiem” zaśpiewa, „Odpoczywanie”...
Niech już raz w Polsce legną odłogiem
W strasznych bładaniach strasni „włoscianie”.

Rozmaitości

Dziwne uniwersytety

Przed wojną plakaty miały treść przejrystą. „Żywiec” na plakacie oznaczał znakomite piwo. Teraz na słupach afiszowych wisi tajemnicza „Żywiec” i zdziwiony mieszczuch pyta, czy prawo zmieniło pleć. „Żywiec” jest utworem dramatycznym, który narodził się spontanicznie na Uniwersytecie Ludowym. Wychowankowie uniwersytetu jeżdżą ze swoim widowiskiem od miasta do miasta. Sztuka ma podobno szlachetne intencje polityczne. Tajemniczy tytuł jest po prostu imieniem dzielnej dziewczyny, która bierze udział w walkach partyzanckich z Niemcami. Słowem rzecz sama jest bardziej żywozna niż tytuł zalatującej żywołem, kolektywną duszą, biologią i Bóg wie czym jeszcze. Szkoda, że dla tak dzielnej dziewczyny nie starczyło imion w zwykłym kalendarzu, ale nie tylko ten szczegół zaniepokoił mnie w tej pięknej imprezie. Czy do tego aż trzeba Uniwersytetu Ludowego? Wystarczyłoby kolo twórczości samorodnej. Jak najwięcej takich kól obok Uniwersytetów Ludowych, ale chyba nie zamiast nich... Że młodzież wiejska pisze kolektywnie, można to uważać za stan przejściowy. Podobno „Iliada” również nie ma autora, na pewnym szczeblu rozwoju społecznego bywali tylko legendarni Homerzy, potem dopiero zjawili się Aj-schylos i inni osobistości odpowiedzialni za to, co piszą. Czy jest jakiś powód posądzać „Żywiec” o to, że chciałaby zabrznąć młodzież wiejską na szczeblu, w doświadczeniach historycznych dawno przekroczonym?

Stegnąłem po radę do czasopiśma „Wies”. W feralnym Nr 13 zaczęła się dyskusja na temat: „Miasto, wieś, regionalizm”. Od razu zabrał głos młotek, który daje niedwuznacznie do zrozumienia, że dla obrony kultury trzeba rozparcelować miasto. Ciekaw jestem ogromnie, czy też niefrasobliwy młotek, jeśli zostanie postem, wniesie natychmiast do przyszłego sejmiku projekt takiej ustawy. Nie wniesie. Myśli młotków nie służą do działania w świecie rzeczywistym. Do czego służą? Do wyżycia swoich żywoł. Ten ma zresztą doskonale usprawiedliwienie, twierdzi, że tylko mieszczanin uparczywie trzyma się „doktryny społeczno-gospodarczych obojętnie jablej maści”. Chłopom to nie potrzebne, światło pogląd, w którym wszystko się ze sobą wiąże i zaciębia jest wynalazkiem miejskim. Chłop z tytułu swoich zajęć ma ponoć cultiem inną świadomość i to właśnie jest dobre! Chytry młotek wsi w miarę swoich potrzeb postuluje się argumentami najbardziej zwulgaryzowanego materializmu.

Publicysta, który otwiera dyskusję, mityguje tego groźnego reformatora. Tłumaczy, że pomysł rozparcelowania miasta jest utopią, ale znajduje w nim motywy zasługujące rzekomo na poważne zastanowienie. Czemu nie powie jasno i wyraźnie, że jest to utopia szkodliwa? Człowiekowi, który pisze: „Miasto jest dziś nie tylko nie potrzebne lecz nawet szkodliwe” trzeba wyjaśnić, że jego pióro działa na szkodę Niepodległości. Trzeba wyjaśnić, bo sam tego nie rozumie. Trzeba nauczyć go myśleć. Od tego właśnie jest Uniwersytet Ludowy.

W tym samym numerze „Wsi” Jan Aleksander Król mówi jasno i wyraźnie. Stawia tę skłonność do utopii i mitotwórstwa w świecie rzeczywistych zadań narodu. Ta skłonność jest rudymenem i szczątkiem minionego okresu, ale artykuł Króla mówi nam, że zamiast zanikać, rozrasta się niepomiernie. „Co się dzieje na Uniwersytetach Ludowych?” Mamy 32 takie uniwersytety i, jak twierdzi J. A. Król, we wszystkich dzieje się to samo. Zamiast kształcić młodzież wiejską, rzekome uniwersytety zajmują się wychowaniem, zamiast dawać jej wiedzę starają się „spółgować życie duchowe i rozwój osobowości wychowanków”. W świetnym, rzeczowym, analitycznym artykule J. A. Król oświetlił ideologię panującą na tych uniwersytetach, jej rodowód historyczny i całą jej niestosowność w obecnym okresie. Nie będę cytował ani powtarzał tego artykułu, który powinien stać się punktem wyjścia do wszelkich rozważań o zadaniach oświatowych i kulturalnych na wsi. Artykuł jest spokojny, ale zawiera treść alarmującą. Można sobie wyobrazić jakie przysposobienie umysłowe i techniczne, jaką zdolność do wejścia w nowoczesne stosunki gospodarcze i życie intelektualne wyniesie młodzież z tych ośrodków, gdzie wciąż jeszcze symbolika zastępuje wiedzę o rzeczywistych procesach społecznych, gdzie bierna pasywna koncepcja „osobowości” nastawia ludzi na przegadanie życia, zamiast na realizację rzeczywistych zadań gospodarczej przemiany kraju. Kraj potrzebuje wykształconych rolników, techników, naukowców, świątlich artystów, a nie gluptasków bożych o spotęgowanej osobowości, żyjących mitotwórstwem i utopiami. Zamiast książki naukowej daje się młodzieży wiejskiej lusterko, aby szukała w nim swojej osobowości. Wymagowane treści biologiczne zastępują Darwiną, kosmiczne wizje własnej duszy wypierają z astronomii Newtona i Keplera. Żywoł,

twórczość spontaniczna, kolektywna dusza, introspekcja, ekspresja, wszystko tam znajduje przytułek, byle nie nauka geometrii

Niedawno w krótkiej i węzłowej notatce wskazał Żółkiewski, że koncepcja wychowania, a nie kształcenia — doskonale odpowiada faszystom. Odbierając ludziom naukę, wychowuje się zwierzę. Uwaga ta z pewnością oburzyła wychowawców. Hitler przecież wychował dzikie bestie, a na uniwersytetach ludowych wychowuje się tagodna sielskie baranki. To prawda, ale rozdział historyczny, zwany faszystem, zawarł w sobie coś więcej, niż bestialstwo. Wszystkie tendencje antyracjonalistyczne, z wyjątkiem spirytualizmu religijnego, które nurtowały nie-szczęsne życie duchowe naszego stulecia, znalazły ujście w faszystach, tam się spotęgowały, tam powiędziały swoje najwyraźniejsze słowo, tam zostały skompromitowane w oczach humanistów. Tak rozumiemy doświadczenie historyczne, sens oczyszczający tego kataklizmu, który pochłonął tyle ofiar. Kiedy człowiek mówi: „Nie poto straciliśmy miliony ludzi, aby się znowu panoszyło mitotwórstwo czy to w literaturze czy na Uniwersytecie Ludowym”, nie ma w tym żadnej demagogii. Nie ma w tym uproszczenia. Jest tylko żal do wychowawców, którzy nie wiedzą co robią. Nie zrozumieli doświadczenia historycznego.

Pół roku temu zwracałem uwagę na mitologię, która dzięki ankietowemu charakterowi „Wsi” rozlała się na stronach tego czasopiśma w całej jaszkrawości. Pozwoliłem sobie spojrzeć równoległe tendencje zachowania krzepy, siły biologicznej, instynktu, polakujące u niektórych poetów wiejskich. Ośmieliłem się przypomnieć, że znalazło to ujście w faszystach. Wywołałem wściekłe oburzenie. Naturalnie poeta, który się upaja żywołem biologicznym, może być w przekonaniu swoim szczerym demokratą, pocie trudniej się wyzbyć zadawnionych skłonności niż myślicielowi, może więc liczyć na pobłażanie, ale niech nie domaga się chwaty z tego tytułu, że nie dotarł do niego istotny sens doświadczeń historycznych. Można zrozumieć tych, co w odruchu walki z faszystem wywoływał w mroku Marzannę do rozprawienia się z Wotanem, przyjmowali w starciach ideologicznych taką broń, jaką im faszysta proponował. Wotan jest powalony. Pochowajcie Marzannę. Nie ona go powaliła. Powalił go plan racjonalny prowadzenia wojny. „Żywiec” jest na pewno bardzo miła, chociaż jej nie znam. Ale „Żywiec” nie zastąpi racjonalnego programu Uniwersytetów Ludowych.

ADAM WAŻYK

„Stara cegielnia” Iwaszkiewicza

Jest specjalny powód do pisania o tym. Bowiem pierwszy to utwór dramatyczny produkcji powojennej, na jaki zdecydowały się wreszcie teatry łódzkie. W najbliższym już czasie wystawi te sztukę Teatr Kameralny Domu Żołnierza. Nie mało narzekani słyszeli się na temat braku sztuk nowych, a do-brych. Stąd paląca ciekawość: Jaki charakter i jaki wydźwięk posiada ów świeży utwór sceniczny autora „Lata w Nohant”?

Przerzucam jedną po drugiej kartki masy-nopisu. Znam nowelę Jarosława Iwaszkiewicza o tym samym tytule i o tym samym temacie, drukowaną zeszłego roku w miesięczniku „Twórczość”. Cieszy mnie jedno: że mimo wiernego powtórzenia fabuły — dramat, w utworze scenicznym, wyraźny jest daleko głębiej, daleko mocniej. Postacie ludzkie narysowane są czyściej. Sens całej sprawy — bardziej jednoznaczny.

W czytaniu — pierwsze dwa akty zbyt leniwie się włoką. Napewno. Ale stanowią logiczną podstawę dla efektów aktu trzeciego. Efektów, które ostatecznie z całą przenikliwością oświetlają wszystkich i wszystko. Efektów gwałtownych — i subtelnych zarazem.

Właśnie. Niewątpliwie subtelnych. Da się to odczuć łatwo, mimo pozornie szorstkiej faktury utworu. Rzecz dzieje się w małej miejscowości podwarszawskiej za czasów okupacji niemieckiej. Typy ludzkie — to stary dozorca opuszczonej cegielni, pracznia i jej córka, młody łobuz-złodziejczak, warszawska kurtyzana, nauczyciel miejscowy, mały chłopak... Wszyscy oni mówią językiem szorstkim, prostym i biorą udział w szorstkich, twardych sprawach. A przecież ostateczne wydźwięki tych spraw — spraw miłości bohaterstwa i poświęcenia takich oto ludzi — mają w sobie równocześnie i delikatność i patos dramatu klasycznego.

Obawiam się coprawda, że na scenie — po podniesieniu kurtyny — zbyt obciążała będą widowisko nieco przydługie dialogi. I jak wygrane zostaną owe mocne, decydujące o wartości sztuki, sceny z aktu trzeciego? Ale nie uprzedzajmy wydarzeń. Jaką ostatecznie pozycję w powojennej twórczości dramatycznej zajmie „Stara cegielnia” — spróbujemy osądzić po premierze.

Juliusz Żuławski

Literatura w obrazach



Jerzy Sorel „Złudzenia postępu”.

KONKURS

Za najtrafniejsze i najdowcipniejsze odpowiedzi na pytanie:

Dlaczego powyższy żart rysunkowy z ilustracją o tak dobranej treści i z taką ideową interpretacją tej treści malarskiej nie powinien się być ukazać w „Kuznicy” a raczej w „Tygodniku Powszechnym”?

Redakcja „Kuznicy” przeznaczą nagrody: I w sumie 1.000 zł., II w sumie 500 zł. Odpowiedzi z podaniem nazwiska i adresu należy nadsyłać do redakcji do dnia 10 maja r. b.

PO ANGIELSKIEJ STRONIE



Rys Charlie

— Jak myślisz John, czy uda nam się wychować Niemców na prawdziwych demokratów?..

Przegląd prasy

Wystąpienia publicystów prasy demokratycznej przeciwko polityce Watykanu i jednocześnie taktice obrony papieża za wszelką cenę, nawet wbrew zasadom własnego interesu narodowego i na przekór faktom historycznym przez prasę katolicką skłoniły zapewne J. A. Szepeński do omówienia roli Watykanu w ostatniej wojnie i przedstawienia politycznej działalności Piusa XII we właściwym świetle w obszernym artykule „Przerosty Watykanizmu” („Odrodzenie” Nr 12). Istotnie, obok pojęć takich jak chrześcijaństwo i katolicyzm wyrasta dziś przed nami zagadnienie „watykanizmu”; zagadnienie bynajmniej nie nowe, niewiele mające wspólnego ze sprawami wiary, pozostające całkowicie w dziedzinach doczesnych, w kręgu pojęć politycznych.

Dlatego Szepeński przytaczając suche fakty z historii ostatnich sześciu lat, świadczące o tym, że polityczna działalność Watykanu nie tylko nie pokrywała się z interesami Państwa Polskiego, lecz przeciwnie — stała z nimi w jawnej sprzeczności, zbija całkowicie argumenty demagogicznej raczej natury, które prasa katolicka stara się przesłonić istotny stan rzeczy. Argumenty te znane nam dobrze z artykułów zamieszczanych w krakowskim „Tygodniku Powszechnym” i w „Tygodniku Warszawskim” podkreślają nieustannie znaczenie duchowej pociętych i filantropijnych gestów Piusa XII wykonywanych od czasu do czasu pod adresem Polaków. Z drugiej strony niezmiennie powtarza się argument apolityczności i uniwersalności Kościoła. Artykuł Szepeńskiego informuje nas w tonie spokojnym o tym, że w ciągu sześciu lat wojny Watykan prowadził politykę bardzo ziemską i podporządkowaną całkowicie prawom tego świata. I tak np. „Z chwilą przyłączenia Poznania do Rzeszy jako Warthegau papież... podjął kroki w kierunku rekonstrukcji diecezji (a więc nie archidiecezji) gnieźnieńsko-poznańskiej. Najważniejszym z tych „kroków” było mianowanie Niemca Hilariusza Breitengera administratorem apostolskim ad interim”. Dalej: „Z chwilą przyłączenia do Rzeszy województwa pomorskiego jako części „Gau Danzig Westpreussen” papież pomyślnie uznał nowy stan rzeczy, mianując już we wrześniu 1939 r. administratorem diecezji gdańskiej i chełmińskiej osławionego Karola Marię Spletta...” Dalej: „Z chwilą przyłączenia kilkudziesięciu parafii polsko-orańskich i polsko-spiski do „niepodległej” Słowacji Watykan pośpieszył wyłączyć je spod jurysdykcji archidiecezji krakowskiej i przyłączyć je do słowackiego biskupstwa spiskiego”. Dalej: „Po kampanii listopadowej 1941 r. papież pośpiesznie zawarł z Berlinem umowę dotyczącą krzewienia katolicyzmu na Wschodzie pod skrzydłami niemieckich okupantów”.

Szepeński, i tu leży główna zasługa tego artykułu, ocenia stosunek Watykanu do Polski i stwierdza, że obecna polityka Piusa XII jest sprzeczna z interesami Państwa Polskiego. Rzecz to nie nowa. Historyczny spór między władzą świecką i kościelną zakończył się w wielu krajach wyraźnym rozdzieleniem kompetencji, co katolicyzmowi (np. we Francji) wychodziło zazwyczaj na dobre. Natomiast „Upokarzający stosunek zależności i wasalstwa nigdy nie wychodził Polsce w Rzymie na dobre — stwierdza Szepeński w zakończeniu swego artykułu. Należy wierzyć, że zlikwidowanie przerostów watykanizmu... pozwoli wreszcie mówić Warszawie z Watykanem jak z równorzędnym partnerem politycznym. O to tylko chodzi”. Kończąc omówienie tego pożytecznego i bezstronnie oświetlającego całą sprawę artykułu chcielibyśmy zacytować zdanie, spotkane przypadkowo w starym, bo z 1833 r., wydaniu piosenek Berangera, ulubionego autora radykalnego wówczas i wolnościowego mieszczaństwa, tego samego być może, które dzisiaj z koleją chętnie broni watykańskich pozycji: „J'aime avant tout le sol natal, J'y tiens autant que vous tenez a Rome” („Z „Kardynałem i piosenkarzem”). Należy przyznać, że chętnie czytamy pisma obozu katolickiego wówczas, gdy przynoszą nam artykuły omawiające intelektualne wartości katolicyzmu niż wówczas, gdy usiłują nas przekonać o jego politycznej słuszności. Dlatego też zwracamy uwagę naszych czytelników na artykuł Jana Dobraczyńskiego w Nr 13 tygodnika „Dziś i jutro” pt. „Tragiczny żywot Leona Bloy”. Autor we wstępie stara się dać definicję epoki w której wystąpił znakomity pisarz katolickiej Francji i choć nie zawsze godzimy się na jego sformułowania, przecież zacytujemy kilka zdań, określających sytuację katolicyzmu we Francji po Wielkiej Rewolucji: „Francja w dobie po Wielkiej Rewolucji była krajem, w którym katolicyzm zamart... religia stała się we Francji jeszcze w przeddzień rewolucji czynną pozahawioną ducha i treści. Katolicyzm francuski zdegenerował się i zniknął”. W dalszym ciągu, omawiając upadek francuskiego katolicyzmu, by przygotować tło do portretu Bloy i rysu jego twórczości, Dobraczyński nie mówi nam niestety o przyczynach historycznych tego upadku. Dlatego też piękna postać Leona Bloy, od którego „należałoby liczyć epokę odradzającego się we Francji katolicyzmu” — jak pisze Dobraczyński, nie zarysowuje się nam wyraźnie i mimo intencji autora artykułu dopełniając sobie hi-

storyczną scenę owej epoki odnosimy wrażenie tragicznej bezradności tego, który pisał (cytuje wg. artykułu Dobraczyńskiego): „Nadchodzi koniec i światu grozi zagłada bliższa niż kiedykolwiek” w obliczu pierwszej mniej nie nadprzyrodzony i nie apokaliptyczny znał wówczas przeciwny człon socjalistycznej partii, a który zapewne przeczuwał tak pogardliwie potraktowany we wstępie przez Dobraczyńskiego — Zola.

Nie sprawił nam niespodzianki „Tygodnik Warszawski” drukując w Nr 13 essay Alexisa Carrela: „Spotkanie z Bogiem”. Dawno już bowiem wiedzieliśmy, że autor „L'homme et l'inconnu” nie reprezentuje rzetelnej obiektywnej wiedzy, wbrew temu co o nim myśli „Tygodnik Warszawski”. Operowanie autorytetem Carrela jako uczonego i zamieszczenie jego artykułu jako dowodu zgody panującej między religią i współczesną nauką, co zapewne leżało w intencjach „Tygodnika” przypomina nam obliczone na umysły młuczkich chwytu „Rycerza Niepokalanej”, reklamującego wiarę Pasteura.

W tym samym numerze „Tygodnika Warszawskiego” znajdujemy zapoczątkowanie interesującej ankiety, która dotyczyć będzie strat kulturalnych poniesionych w latach niemieckiej okupacji przez osoby prywatne. Należy przypuszczać, że wyniki tej ankiety uzupełnią wydatnie dotychczasowe informacje dotyczące naszych zdewastowanych zbiorów, galerii, bibliotek i archiwów prywatnych, stwarzając tym samym materiał dla prac rewidykacyjnych. Dlatego też inicjatywę „Tygodnika Warszawskiego” witamy z uznaniem. W bieżącym (13) numerze tego pisma Piotr Grzegorzek informuje nas o losie zbiorów zmarłego w pierwszych miesiącach wojny Stefana Dembego, znanego bibliofila i zbieracza. Prasa periodyczna śląska reprezentowana dotychczas przez kilka wydawnictw uzyskała nową pozycję. Jest nią „Śląsk”, miesięcznik ilustrowany, wydawany w Jeleniej Górze przez kolegium redakcyjne w skład którego wchodzi m. inn. Edward Kozikowski. Pierwszy numer „Śląska”, który będzie zapewne w myśl zapowiedzi Redakcji wiernym zwierciadłem śląskiej współczesności przy jednoczesnym ujawnianiu jej polskich tradycji, przynosi m. in. „Zródła i charakter wai śląskiej”, Anny Kurzebianki, artykuł o bitwie pod Lignią St. Kuczyńskiego, artykuł Tadeusza Mikulskiego, który informuje nas dokładnie o pobycie Juliusza Słowackiego we Wrocławiu na wiosnę roku 1831. O zabytkach językowych polskich na Śląsku pisze W. Taszkyki. Założyć należy, że mało rozbudowany jest jeszcze dział kroniki i że materiał ilustracyjny jest nazbyt skromny. Zapewne dalsze numery „Śląska” wynagrodzą nam te braki.

Kultura klasyczna, tak zaniedbana w okresie wojennym i chętnie lekceważona w okresie powojennym uzyskała w roku bieżącym własny miesięcznik. Jest nim „Meander”, wydawany z zasiłku Ministerstwa Oświaty w Warszawie przez profesorów wydziału humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. W Nr 2 „Meandera” znajdujemy kilka artykułów — niektóre z nich są typu popularyzatorskiego jak np. artykuł Gustawa Przychodkiego, traktujący o wynalazkach i technicznych zdobyciach starożytności, lub artykuł Stefana Oświecimskiego, omawiający rolę mecenasa sprawowanego przez Rzym w stosunku do pisarzy, inne — dotyczą zagadnień węższych jak np. artykuł Bulasa o „Eksplanji sztuki greckiej na Środkowym i Dalekim Wschodzie”. Wreszcie, i to pragniemy szczególnie podkreślić wobec ustawicznego braku książek, znajdujemy w „Meandrze” dział przekładów. W Nr 2 prof. Kumaniecki zamieszcza przekład fragmentu z Tocydydesa „O wojnie Trojanńskiej” zawierający tekst mowy Peryklesa o demokracji ateńskiej. Przekład zaopatrzone jest w komentarz wstępny tłumacza.

Na zakończenie pragniemy jeszcze poruszyć pewną sprawę, związaną pośrednio z nagrodą literacką miasta Krakowa. Pośrednio, gdyż nie o samej nagrodzie chcemy tu wspomnieć, lecz o artykule Jerzego Zawieyskiego „Jak przyznano nagrodę literacką Krakowa” („Odrodzenie” Nr 13). W artykule tym Jerzy Zawieyski odsłania nam kulisy obrad jury, wypowiadając zreasumowane zresztą zapewne zdania pozostałych mówców. Tym niemniej pragniemy w tym miejscu zaprotestować przeciwko formie w jakiej autor artykułu wyraża się o twórczości Władysława Broniewskiego. Sądymy, że tylko wskuteko niedopatrzania redakcji „Odrodzenia” ten nieumotywowany, nonszalancki i nietaktowny w formie passus został w piśmie zamieszczony. Nie wchodzić w meritum sprawy i odbiegając całkowicie od hierarchicznych sporów, mamy prawo domagać się, by „Odrodzenie” nie zamieszczało tak apodyktycznych i bezapelacyjnych zdań o twórczości jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich liryków. Gdyby Jerzy Zawieyski napisał obszerną rozprawę, w której by sąd swój wypowiedział i uzasadnił, nie wywołałoby to naszego zgrozżenia — moglibyśmy się z sądem tym zgodzić lub nie zgodzić. Natomiast definicję liryki Broniewskiego zawartą w jego artykule „Jak przyznano nagrodę literacką Krakowa” uważamy za przykry nietakt, ph

Jan Bolesław Ożóg



Jan Bolesław Ożóg

Nazwisko J. B. Ożoga znane jest czytelnikom poezji sprzed wojny i kojarzy się z „kierunkiem” poetyckim lansowanym w ostatnich latach przedwojennych przez redaktora ostrzeszowskiej „Okolicy Poetów” Stanisława Czernikę — „autentyzmem”. Zdawałoby się, że teoria ta, mocno wątpliwa i nie wytrzymała krytyki w szych psychologizacyjnych założeniach, należy dawno już do lamusa literackich zabytków, tym bardziej, że narwane „autentyzmem” dążenie do prymatu t. zw. „wzruszeń bezpośrednich” łączył Czernik z dość mętłymi tendencjami ideologicznymi, okazuje się jednak, że tak nie jest, ponieważ Ożóg tomik swych wierszy, wydanych nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie, dedykuje „twórcom polskiego prądu literackiego — autentyzmem”, przywiązując jak widać do sprawy tej pewne znaczenie.

Moglibyśmy się tą dedykacją nie zajmować i odcenić Ożoga w oderwaniu od niej. Jest to bezwarunkowo zdolny poeta, wyrosły z atmosfery drugiej połowy lat międzywojennych, kojarzący w sobie wpływy poetyki „Skamandra” z upodobaniem do pewnych sielankowo-

archajcznych form poezji staropolskiej, chętnie czerpiący z obrabionych już poetycko motywów ludowych (Młoda Polska, Kasprowicz), a także niekiedy z pewnych chwytów poezji nowatorskiej (Czechowicz), Ożóg posiada świeżość spojrzenia na przyrodę, wiąże nieraz zwięździe nutę kantyckową, wiejsko - kościelną, prymitywny wiejski zaśpiew z czerstwym, marmocnym humorem. W wierszach jego dźwięczy Jesienin, Blok, Wierzyński i Tuwim, Liebert i Gałęzyński. Nie o to jednak chodzi.

Zdolność pisania pięknych niekiedy wierszy wrażeńowych („Dwór w Przewrotnem”, „Wiosenne wody”, „Marysia”, „U chrześcijańcy”, „Do ostatniej krwi”, „Kontyngent lasu”) byłaby zupełnie wystarczającym atutem dla Ożoga, gdyby się do nich ograniczał, nie usiłując znać jednocześnie w wierszach postawy nie mającej z wyżej przedstawioną umiejętnością poetyckiego ujmowania pewnych zjawisk, żadnego związku.

Ożóg jest poetą w niefalszowany sposób naiwnym: ta naiwność jest jego wadą i bogactwem, jej zawdzięcza piękno i świeżość strof powstałych z nasłuchania się czy zapamiętania w te czy inne obrazy i melodie, lecz zaletom odbija się na języku poety, kiedy chce przemycić w wierszu jakąś myśl, czy zaznaczyć postawę wobec spraw ludzkich. Można by dać duży upust złośliwości chcąc cytować mimowolnie komizne efekty, jakie wywołują utwory takie jak „Trzecia Republika”, „Jesień 1945” i temu podobne, a i humor zamierzony w wierszach tak nieoczekiwanych jak „Z przyjaciółmi” nacechowany jest ogromnym prymitywizmem.

W rezultacie odnosi się wrażenie, że zbiorzek wymagał raczej dużo surowej selekcji, niż ta którą autor przeprowadził. Pozwoliłaby ona odnaleźć, po eliminacji kilkunastu wierszy, zupełnie nieporadnych i niepotrzebnych, całość wdzianą i bezpretensjonalną. Podejmowanie jakiegokolwiek problematyki kulturalnej w wierszach Ożoga (np. wiersz o Mickiewiczu „Pożegnanie Litwy”) chybła całkowicie. Nie wjem kogo Ożóg poza Czernikiem należy do twórców „polskiego prądu literackiego autentyzmu”, w każdym bądź razie wyznawców ich z roku 1946 — przy najpochlebniejszej ocenie jego najlepszych wierszy — trudno uznać za pioniera jakiegokolwiek przemysłanej drogi twórczej.

Ryszard Matuszewski

JAN ROJEWSKI

Siedem dni

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna
a ojca krwią spada dziedzictwem na syna

LORD BYRON

Gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, która z armii trzech mocarstw rozgorzła armie poszczególnych państw osi, musiałbym, oczywiście po zaznaczeniu, że ostateczne zwycięstwo jest bezwzględnie wynikiem koordynacji alianckich wysiłków zbrojnych, ustalić, że o ile Armia Czerwona była przede wszystkim Niemców, a amerykańska Japończyków, o tyle Brytyjczycy, z powodzeniem bili... Włochów. Po pierwszych wojnie światowej krążył dowcip, że Pan Bóg stworzył Włochów, między innymi po to, żeby Austriacy mieli kogo zwyciężać. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym przemilczał sukcesy bojowe Anglików w stosunku do dwóch jeździące narodów poza Włochami. Otóż prócz Włochów, Anglię w tej wojnie dzielnie bili... Greców i Jajajczyków. Dwa razy w odstępie czteroletnim wojska angielskie wylądowały w Grecji. W 1941 roku i w 1945 roku. Pierwszy raz — witanie kwiatami i żegnani łzami, a drugi — witanie łzami i granatami i żegnani, o ile wyjadą, kwiatami. Niestety, tym razem nie zamierzają wyjechać. Kierują się tradycyjną troską o wolność bohaterów Greków. To wprawdzie wolność „Made in England” ale, na eksport do krajów kolonialnych. Przyjrzyjmy się „Greckiej tragedii”; to bardzo pouczające dla mieszkańca Polski. Poniekąd „klasyczny” przykład. Właściwie, że na scenie teatru greckiego występują nie tylko Grecy i Anglijczy, ale także nasze swojskie PSL, w charakterze „chóru greckiego”. Greków jest 6 milionów 933 tysięcy. Można śmiało przyjąć, że dane z 39 roku, ponieważ jak wiadomo, głosowali nawet obywatele z tamtej strony Styxu. A jeżeli zważyć, że Grecy mają za sobą trzy świeże wojny, z Włochami, Niemcami i Anglikami, — zmarłych było sporo. Przy czym wszyscy byli w liczbie 56 proc. głosujących (dane angielskie). Nie głosowało więc oficjalnie 45 proc. narodu; oficjalnie, bo w rzeczywistości nie głosowali także lewicowcy, świadomie niewięcigłówni na listę z Anglików przebywających w Grecji, nie głosował na pewno... lord Byron; co do innych mam wątpliwość. W każdym razie ci którzy w Grecji nie głosowali, udowodnili bezsprzecznie, że żadna z dwudziestu partii prawicowych nie odpowiada ich poglądom. Ani te skrajnie, skłonne faszyzmowi, ani ten łagodniejszy w formie Sofalis. O ile więc niegłosujący wypowiedzieli się szczerze, o tyle szczerose głosujących krepowały niewątpliwie piastowane urzędy, obawa przed represjami,

Unrra - patriotyzm. Jeśli uwzględnimy poza tym, że termin wyborów ustalił Bevin, i że nazajutrz po wyborach, brytyjski ambasador omawiał u siebie w gabinecie sprawę przysięgi rządu greckiego i monarchii, zrozumieć, że Grecja będzie wkrótce pod rządami króla Jerzego... piątego.

I tym razem, jak zawsze w swojej historii Anglia nie broni cudzych interesów i cudzej wolności. Grecja stanowi dla Anglii północną granicę tego samego zagadnienia, którego wschodnią granicą jest Polska. I tu i tam Bevin rozstawia swoje straże. Tam populistów, tu PSL-owców. Zandarmi brytyjskiej „wolności” przesyłają sobie pozdrowienia z 2 granic Balkanów. „Gazeta Ludowa” z 2 kwietnia, salutuje wielkim nagłówkiem: „Pogodne wybory w Grecji”. „Panna piękna, słoneczna pogoda”. Ślicznie. PSL-owi odpowiada zatem atmosfera greckich wyborów. Oświadczam się, że „Gazety Ludowej” nie cieszy metoda greckich wyborów, lecz... wynik. Maluzeko, a PSL, w ślad za populistami, internującymi Jerzego i belgijską partię chrześcijańską - społeczną, pragnącą powrotu Leopolda, żąda koronacji na króla Polski. Stanisława III „Piasta”.

PO AMERYKAŃSKIEJ STRONIE



Rys. Charlie

— Nasz kolezdy już dawno strajkują, a my jeszcze w wojsku!

N O T Y

DEMOKRATYCZNE ROZMYSLANIA NAD OREDZIEM WIELKOPOSTNYM

Katolicki episkopat polski wystosował wielkopostne oredzie do wiernych. Niewtajemniczonym w arkanach polityki kościelnej zdawać by się mogło, że oredzie zaznaczy przynajmniej ogólnie, iż oddanie ziemi przez Reformę Rolną tym, którzy na niej pracowali, a przemyśle tym, którzy sa właściwymi wytwórcami, jest aktem najprostszej sprawiedliwości. Rzecznicy chrześcijaństwa nie powinni przechodzić w milczeniu koło reform, które przebiegają sa realizacją tak podnoszonej przez nich „sprawiedliwości chrześcijańskiej“.

Całe oredzie skupia się właściwie wokół jednej myśli przewodniej: aby kościół katolicki nie utracił uprzywilejowanego stanowiska w państwie, tzn. przede wszystkim, aby inne wyznania i wolna myśl nie uzyskały prawa pełnego obywatelstwa w kraju. Celem poparcia tych dążeń, powołuje się oredzie na dobro narodu, jego przeszłość, jak gdyby właśnie historia dowiodła, ponad wszelką wątpliwość, że tylko recepty rzymsko-katolickie naród zbawić mogą. Jeżeliby oredzie o inne chodziło sprawy, ton jego byłby niepoety. Nie może bowiem episkopat skarżyć się, że religia katolicka jest prześladowana. Przeciwnie, mimo chodem, zapominając, o czym będzie mówił dalej, przyznaje, że w Polsce nowej „w szablonych świątyniach rozbrzmiewa znowu chwala boża“, że „zniesione ośrodki parafialne odradzają się“, że „nowe ośrodki religijne powstają“. O cóż więc idzie arcybiskupom, kiedy biją na alarm, że „z nieladu powojennego skorzystały antykościelne czynniki, które pod hasłami postępu i nowości wznowiają napady na religię“, że „powstają ruchliwe komórki sekularne“, że „nie wolno lekceważyć szeregowania się sił, które chcą moralnie osłabić naród i oderwać go od kościoła“, że trzeba mieć się „na baczności przed zakusami sekt i herezji“, że „Polska nie może być komunistyczna“ i że należy „dusze polska od materializmu zabezpieczyć“.

Wobec braku prześladowań religijnych może tu chodzić tylko o ograniczenia w Polsce swobody wyznania, sumienia i myśli, celem utrzymania niedawnego monopolu dla spraw religijnych w reku kościoła katol.

Wydać się, że poważna publicystyka — za taką uważamy również oredzie biskupie — nie powinna sugerować rzeczy niezgodnych z historyczną prawdą. W apelu oredzie, aby Polacy strzegli się „błędów i zboczeń“ przez obce duchowi polskiemu innowierstwo, które z zagranicy przychodzi i przez zagranicę jest podtrzymywane, tkwi wyraźna sugestia, że chrześcijaństwo rzymskie urodziło się nad Wisłą i nie ma żadnych kontaktów z zagranicą.

Autorzy oredzie zdobyli się na przestrożę przed komunizmem, a nie zdobyli się na przestrożę przed faszyzmem: „Polska nie może być komunistyczna“ — orzekli. Ktoś naiwny oczekiwałby po tym wystąpieniu drugiego: „Polska nie może być faszystowska“. Tym bardziej, że to nie komuniści mordują księży w Polsce, ale faszystów z NSZ mordują od roku demokratów. Brak wystąpienia przeciwko faszystom przy równoczesnym akcentowaniu niebezpieczeństwa komunizmu mówić sam za siebie. Nie można tego nie podkreślić zwłaszcza, że to faszystów, a nie komunizm, wszedł w Polsce na drogę krwawej rozprawy z przeciwnikami.

„SARMATYZM“

Mamy zwyczaj w „Kuznicy“ proponować do dyskusji takie tezy i w takim sformułowaniu, aby według naszej najlepszej wiedzy odpowiadały współczesnemu stanowi problematyki kulturalnej. Staramy się oczyścić pole dyskusji, eliminować te problemy i te sformułowania, które z punktu widzenia najbardziej prawdopodobnych wyników są już przez zwyciężone. Dotyczy to oczywiście rezultatów poszukiwań empirycznych. Nie usuwa to jak dotąd zasadniczej wielości możliwych światopoglądów. Zmusza to jednak do rewizji przy najmniej pewnych tez ideowych, a choćby ich sformułowań. Dla tego to celu wymieniamy zwykle owe przewyższone stanowiska, powołujemy się na prace badawcze, w których zostały rozważone. Nie bywamy tu nigdy ciśni i jednostronni! Obok marksistów — cytujemy np. tak im obcych neopozytywistów. Bo też u różnie zorientowanych badaczy staramy się uchwycić to, co jest według naszej najlepszej wiedzy empiryczne. A cytujemy, aby każdy mógł sprawdzić czy mamy rację — bez walkowania rozstrzygniętej sprawy. Sądziemy bowiem, że ciekawa dyskusja zaczyna się dopiero — po zaznajomieniu się ze stanem badań i problematyką danej dziedziny. Dyskusja nad zagadnieniami, które z punktu widzenia aktualnego stanu wiedzy są właśnie jeszcze nierozstrzygnięte i w kolejnej fazie rozwoju danej dziedziny myśli godne uwagi krytycznej. To spotyka się ze szczególnymi drwinami ze strony sarmackich „intelektualistów“ z różnych „Tygodników Warszawskich“. Nie posiadamy tych ludzi o złą wolę. Z charakteru

ich krytyki wynika, że nie pojmują nas, brak im narzędzi koniecznych do trafnej oceny takiej działalności. Z jednej strony brak im odpowiedniej erudycji; to godzi się z antyintelektualnymi tradycjami w naszym życiu literackim lat międzywojennych. Ale ważniejsze — jest w nich i jakaś szkała psychiczna. Brak jakiejś dyspozycji. I ten aspekt psychiczny pozwala stwierdzić, że tego rodzaju ludzie nie poraz pierwszy zjawiają się w dziejach naszej kultury. Gdy czytamy takie uparte lekceważenie „literatury przedmiotu“ w każdym zakresie, coś mi się przypomina,

To samo przypomina się uparcie, gdy nazywają obronę jednego stanowiska naukowego — szlampowską. To samo, gdy nazywa się żądanie formalnej poprawności wypowiedzi — ciasnotą. Tepienie zdań z punktu widzenia wszelkich możliwych sprawdzianów ani prawdziwych ani fałszywych, a tylko bezsensownych — nazywają tłumieniem swobody indywidualności. Normalnemu myśleniu przeciwstawiają „narodową bystrość“ nadlogikę i intuicję.

I rzeczywiście pamięć nie zawodzi. Przecież wystarczy poniższy cytat — Prototypem omawianych „intelektualistów“ był stary saski szlachcic Sopilca:

„Wielkie dla nas zło, że zagraniczni ludzie chcą nas uczyć tego, co się u nas działo; a co gorsza, to, że młodzież nasza chętniej im wierzy, niżeli nam, cośmy na to patrzyli. Długi czas markotno mi było, że nie umiem po francusku, bo człowiek w książkach francuskich znalazłby jakąś rozrywkę; ale, obcuje z ludźmi uczonymi, podowiadawałem się od nich, że Francuzi o nas takie dziwolągi piszą, iż się ciężko teraz, że ich książek rozumieć nie mogę, bo niczego bym się nie nauczył, a co bym się nagniewał, to byłoby w zysku. Mówiono mi o opisie konfederacji barskiej przez Demuliera, którego znałem osobiście, bo służyłem pod nim i długo... Otóż ten general Demulier, wszystkiemu u nas przyspągając, a tylko siebie chwaliąc, robi księcia Karola Radziwiłła głupcem... Że książkę nie był po zagranicznemu oświecony, to pewna; ale, że miał polski rozum, i to wielki, to jeszcze pewniejsze. Miał on to światło przyrodzone, które u nas zawsze w kąt zapiera światło nabyte, bo lepszy rozum z głowy, niż z książek, i większa zaleta wielkie rzeczy umieć robić, niż umieć dobrze je opisać.“ (H. Rzewuski, „Pamiętnik Sopilcy“).

WINDA

Zawsze zdawało mi się, że nie należy dopuścić do tego, by dzieci jeździły windą, jeśli nie potrafią nawet samodzielnie wchodzić na schody. Trzeba by przede wszystkim nauczyć chodzic. Potem dopiero powstaje sprawa windy — w każdym razie, by mogły jeździć windą powinno się je zapoznać ze skomplikowanym urządzeniem tejże. W przeciwnym razie nieuczony dziecko albo przytrząśnie sobie rękę albo uszkodzi windę.

Takie refleksje nasuwają mi się, gdy czytam w nr. 13 „Odrodzenia“ wiersze „Młodych poetów“ i „Młodych poetek“. I rzeczywiście: rozpoznajemy tu klasyczny przypadek windy. Niewtajemniczonym pozwolono posługiwać się tym pożytecznym wynalazkiem i dlatego młodzi poeci i młode poetki mają przytrząśnięte jeśli nie ręce to w każdym razie pióra — a winda stoi!

W swoim czasie przeszliśmy, a raczej po nas przeszła dziesiąta fala gwałtownego przypływu pseudo „awangardy“ (Włodek, Jeczalik, Lau). Czytaliśmy te wiersze, które nic nie znaczą i sa tylko powtórzeniem prób rozwiązania formalnych dokonanych już dwadzieścia lat temu przez kogoś innego. Obecnie jest gorzej: „Odrodzenie“ lansuje kilka nowych nazwisk, drukując kilka utworów, które nic nie znaczą i nie sa nawet próbą rozwiązywania czełgokolwiek. Rzekomi „strofkarze“ nie potrafią nawet użyć poprawnego rytmu i przeraźliwie kaleczą rytm. Jaka inflacja przymiotników! Związanych uparcie z tymi samymi rzeczownikami: senny oddech, skarb ostatni, tę romantyczne i z kategorii mocno nadużywanej dopiero w ostatnich miesiącach: kopne siano.

Czy dobrze robi „Odrodzenie“ drukując z uporem od wielu miesięcy złe, niestandardne wiersze, świadczące o nieopanowaniu prymitywnych zasad normatywnej poetyki? Chyba nie! Świeżość tych wierszy jest bardzo podejrzana i rymowanie typu: pamięć — zblakamy; wrześnie! — nie mruż — tak samo myszka traci jak wykoiwane serce w rozterce. Wśród młodych kryje się na pewno nie jeden talent. Ale drukowanie ich utworów zbyt wcześniej na pewno pożytku im nie przynosi.

Zapewne każde pismo w Polsce mogłoby dziś drukować pięć debiutów co tydzień. Ale po co — jeśli nie sa one interesujące w ramach żadnej poetyki? Przypuszczam np., że w obecnej koniunkturze politycznej „Kuznica“ np. mogłaby drukować nie tylko Aluchne lecz nawet i Akuchne. Czyż jednak ideał przedwojenny Stanisława Czernika: 1000 poetów w Polsce jest ideałem „Odrodzenia“? Lepiej uczyć dzieci jeździć windą, a jeszcze lepiej uczyć je chodzic pieszo po schodach. Potem

dopiero wpuszczać do windy. Boję się o całosć windy! Niech już rymują lepiej serce — w rozterce!

METODY

Tendencyjnego fałszu dopuścił się ostatnio tygodnik emigracyjny „Zycie Tygodnia“, wychodzący w Rzymie, wydawany przez Zdzisława Baum z ramienia „Spółki Akcyjnej, Dom Prasy Polskiej“ i redagowany przez Ignacego Kleszczyńskiego. Ukazały się tam 3 fotografie przedstawiające ezekucje katów niemieckich z obozu w Majdanku. Tygodnik ten stwierdza, że przedrukował fotografie z pisma francuskiego „Nuit Et Jour“, które przeczywiście zamieściło te zdjęcie w numerze z dnia 14 lutego rb. zaopatrując je tytułem: „Varsovie veille ses morts et chatie ses bourreaux“ (Warszawa grzebie umarłych i karze swoich katów). Natomiast pismo polskie kolportowane wśród andersowców we Włoszech, w Niemczech, Francji i Anglii, usiłuje wmówić w czytelników, że powieszeni — to polscy przestępcy polityczni. Tygodnik pana Bau obawia się widocznie przyznać, że w Polsce przestępcy i kaci niemieccy sa bezwzględnie sadzeni i karani. „Zycie Tygodnia“ podaje ponadto następujące „sensacyjne“ szczegóły: „Szubiencice w kraju sa unowocześnione. Skazańcy sa podwożeni na popularnych samochodach amerykańskich. Po nałożeniu strzyżka skazańcom odjeżdżają one od szubienic, na których zawieszają zwłoki...“ Inne dwa zdjęcia zaopatrzone są w dopisek: „Warszawskie szubienice“. Ani słowa o tym, że sa one przeznaczone, dla katów hitlerowskich.

Ciekawie pendant do tego fałszu stanowi komentarz do zamieszczonych w tym samym numerze fotografii, przedstawiającej ezekucję b. premiera Węgr, hitlerowca Laszlo Bardossy. Tygodnik Andersa pisze mianowicie co następuje: „Niech Bóg uchroni Węgry przed bandytami — to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział przed ezekucją b. premier Węgier Laszlo de Bardossy“.

To współczucie emigracyjny tygodnik dla węgierskiego zdrajcy, nie wymaga już chyba żadnych komentarzy...

W KRAINIE BELKOTU

W Nr 7 „Tygodnika Warszawskiego“ p. Henryk Jakóbczyk drukuje obszernie rozważania na temat doskonałości człowieka. Czytamy tam następujące złote myśli:

„...Współzależność duszy i organizmu jest ogromna. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że stan ciała odgrywa niepoślednią rolę dla przejawów naszej psychiki, osiagając niekiedy wpływ decydujący. Wiemy, że człowiek chory i gorączkujący zatracca ostrość świadomości, że u posłedzenie jednego ze zmysłów powoduje czasem kompleksy lekowe, że ból organiczny koncentruje naszą uwagę na myślenie wokół bólu. Z drugiej znowu strony i czynności psychiczne wywierają wpływ na nasz organizm. Zjawiska te uchodzą naszej uwadze dla tej prostej przyczyny, że kierujemy lub staramy się kierować w życiu realizmem, utożsamiając ten realizm z mechanistycznym i materialistycznym pojmowaniem życia. A przecież głębsza obserwacja poucza każdego, że zmartwienie może spowodować schudnięcie, że rozpacz doprowadza niekiedy do udaru serca, że radość i entuzjazm wpływają dodatnio zarówno na apetyt jak i na skłonności do ruchu. Myśl zdolna jest wywołać uszkodzenie cielesne, uczucie jest w stanie zachwycić w naszym organizmie współprace narządów wewnętrznych i soków ustrojowych“.

Nigdy nie przypuszczałem, że przynębnienie wywołane bólem brzucha obala materialistyczne pojmowanie życia. Ale skoro u p. Jakóbczyka „myśl wywołuje uszkodzenie cielesne“ jak u stygmatyków na wszystko należy być przygotowanym. Toteż snokoinie czytamy dalej:

„...Napisałem: racjonalizacja życia osamotnia człowieka, gdyż pełne człowieczeństwo potrzebuje koniecznie środowiska a więc i atmosfery psychologicznej. Tej atmosfery nie daje współczesność, a walka ze środowiskiem jest niezmiernie trudna, jeśli nie niemożliwa. Nasza cywilizacja jest czysto zewnętrzna: jest w niej doskonałość i precyzja maszyny, ale nie ma głębi. Nasze wysiłki umysłowe brna między wydajność pracy, pasy transmisyjne i komfort życia prywatnego. Nasze dni codzienne sa aluminium, lekie i błyszczące, bowiem lubimy połysk lakierny, politure mebli i nieładujące szkło. Gramy w brydża nie dla przyjemności umysłowej, lecz dla emocii...“

P. Jakóbczyk uważa widocznie, że należy grać w brydża dla rozwoju umysłu... Zresztą mniejsza o to, skoro:

„...Pasionuje nas fizyka i elektrotechnika tylko dla celów praktycznych, a nie dostrzegamy jak nas deprawia szerzy się wszędzie skoro nawet:

„...racjonalizm i wpływy cywilizacji maszynowej sięgnęły i do duchowieństwa, ale właśnie na terenie Kościoła rozbrzmiały wołania o pamiętanie i przedsięwzięcie program odnowy...“

Jak się dowiadujemy po przeczytaniu artykułu p. Jakóbczyka. Książe Metropolita Krakowski zakazał podległemu sobie duchowieństwu jeżdżenia samochodami i używania kolesi.

„Trudno sobie wyobrazić, by finał mitologii błogostanu fizjologicznego mógł być wolny od orgiastycznych opętania i samozniszczenia. Ten klimat triumfalnego nihilizmu najżybiej zużywa i spala a b!ski jest bardzo podświadomej tęsknocie współczesnych. Europa przemienia się stopniowo niestety w olbrzymi Gangster Gau, gdzie połowa kradnie, aby pójść z resztą na wódke. Dla wielu, jest to jedynie dostępna forma ekstazy kontynentalnej i zbratania ludów.“

„Cywilizacja materialna bez udziału czynnika religijnego nie jest w stanie osiągnąć swoich własnych celów. Etyka chrześcijańska stanowi warunek psychofizycznej potęgi. Już luksus starożytności wyniłił za siebie niemoc organizacyjną. Osłabienie przyszło po kultach blichcznych. Dionizos okazał się impotentem w perspektywie dziejów.“

Z artykułu Edwarda Jastrzębia — „Meta marksizmu“, Życie Literackie, 5/6. Wstyd Alfredu!

BIEDNY POLSKI UCZONY

Londyński „Spectator“ w artykule pt. „Uczony polski“ pisze, że od stycznia br. istnieje zakaz przesyłania do Polski książek i pism zagranicznych, nie wylaczając książek i czasopism naukowych. „Zarządzenie to — dodaje angielskie pismo — jest zaprzeczeniem tradycji wielu stuleci w Polsce, która utrzymywała związek kulturalny z zachodem“.

Biedni polscy uczeni i pisarze! Jak się dowiadujemy specjalnie oddziały zmotoryzowane strzeżące księgarni „Czytelnika“ (gdzie od paru miesięcy dostać można pisma francuskie i angielskie), przed najcięższymi uczonymi i pisarzami, uzbrojonymi w granaty ręczne w kształcie kalamarzy i w automaty nowej konstrukcji przypominające do złudzenia pióra wieczne. Walki sa w toku. Nasz przedstawiciel po trzygodzinnym bitwie zdołał się wdrzeć do księgarni i przyniósł nam wymieniony wyżej numer „Spectatora“.

Wystawa obrazów

Jana Bułhaka Warszawa 1945 r.

Gdy wchodzimy na wystawę wileńskiego mistrza w warszawskim Muzeum Narodowym, uderza nas od razu jakiś ton szczególny.

Bułhak komponuje najczęściej za pomocą przeciwstawiania sobie szerokich płaszczyzn, mocno ze sobą kontrastowanych. Niebo gra zwykle rolę akompaniamentu, stwarzając silny nastrój muzyczny (Kościół Zbawiciela). Najbardziej wrażliwe sprawia cykl obrazów Zamku Królewskiego. Niektóre z nich wywołują jakieś szczególnie mocne skojarzenia muzyczne — jakby marsza pogrzebowego, np. Nr 34, gdzie rolę ponurych akordów odgrywają ciemne postacie ludzi bez twarzy.

W niektórych innych obrazach rolę muzyczną grają rytmiczne szeregi kolumn. Gdzieś indziej światło boczne ślizga się miękko, wprost melodyjnie, po konturze rzeźby, np. na frontonie Pałacu Rzeczypospolitej na placu Krasiańskich (Nr 272).

Z przedwojennej twórczości Bułhaka pamiętam wspaniały obraz pt. „Memento“: czaszki ludzkie — dwie w głębokim cieniu, trzecia w mocnym świetle, ułożone w piramidę... rzecz, pomimo makabrycznego tematu, miała jakąś barokową bujność a zarazem zwężość. Do tego dzieła nawiązuje duchowo obecna wystawa.

Warszawa stać wiecznie w ruinach nie będzie. Zbiór obrazów fotograficznych Bułhaka jest dokumentem tej chwili jej życia, dokumentem o wysokiej wartości historycznej i artystycznej.

Jan Sunderland

CENY OGŁOSZEŃ: 1 linijka zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Probne ogłoszenia 25 zł mm na 1 szpalte.

Redaguje Zespół „Kuznicy“. Redaktor Naczelny: Stefan Zółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205.42.

D-02746

Wydawca: Zespół „Kuznicy“. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“ Nr. 4, ul. Żwirki 2.